7 DNI

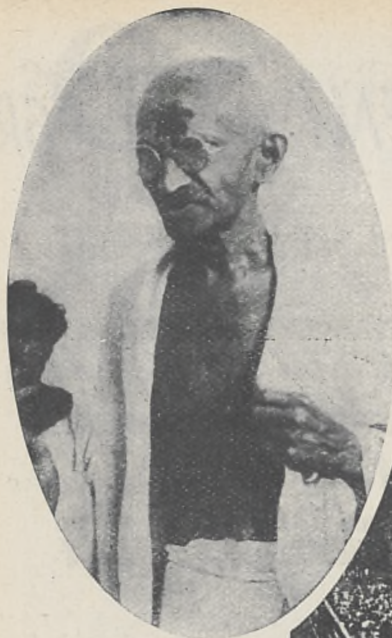
CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



HAI — TANG. *(fot. Petef.)*





Mahatma Ghandi przemawia do tłumów, które słuchają go w skupionem milczeniu.

Sól zwycięstwa

Wypadki, które dzięki specyfistycznemu charakterowi walki o niepodległość, podjętej przez Hindusów, rozwijają się w bardzo powolnem tempie, dają możność wszechstronnego zbadania zagadnienia przyszłości Indji i zapoznania się z niezwykłą osobistością przewódcy Hindusów, Mahatma Mahamohanda Karamchanda Gandhiego.

Zastanowimy się przedewszystkiem nad polityczną stroną tego zagadnienia. O ileby Indje, przed rokiem jeszcze, zadowoliły się nadaniem praw dominjonu brytyjskiego, o tyle obecnie dążą do całkowitej niezależności. Zmiana ta nastąpiła z jednej strony jako skutek bezowocnych prób nawiązania nici porozumienia z rządem brytyjskim, z drugiej strony zaś, jako reakcja przeciw brutalnemu tłumieniu przez Anglików wystąpień nacjonalistów.

I mimo pokojowe pozory rewolucji indyjskiej — sytuacja dla Anglji staje się z każdym dniem poważniejsza. Za Gandhim bowiem, którego nauki poruszyły cały naród, stoją miljony wyznawców, za nim też stoi słuszność i wielkość idei — Anglicy zaś rozporządzają ograniczonemi siłami, a ponadto oddzieleni są od Indji kanałem Suezkim.

Ostatni ten szczegół zwłaszcza jest niezmiernie ważny. Bo choć Anglicy zdają się napozór zupełnymi panami kanału, to niemniej jednak liczą się z tem, że najważniejszy ten klucz strategiczny może im być wytrącony wskutek poczynań ludów arabskich i nacjonalistów egipskich. Sytuacja jest bardzo niepewna. To też Anglicy, zdając sobie sprawę z tych groźnych ewentualności, od dziesiątków lat wytężali wszystkie siły w celu zabezpieczenia sobie bezpośrednich wpływów w Arabji i Egipcie.

Wypadki, które się rozgrywają w Arabji, są okraszone tak niezwykłym romantyzmem, iż trudno jest niewtajemniczonemu zorjentować się w poczynaniach Lawrence'a et consortes. Zdaje się przynajmniej, że Anglicy stanęli tam silną stopą.

Inaczej rzecz się ma z hinterlandem afrykańskim. Wiadomo przedewszystkiem, że Anglicy musieli poczynić znaczne ustępstwa na korzyść nacjonalistów egipskich. Że Egipt stał się jurydycznie i faktycznie zupełnie niezawisłym. Że kontrola, jaka pozostała w rękach Anglików, jest bardzo ograniczona. Że wreszcie niepodległościowcy indyjscy mogą bardzo poważnie liczyć na współdziałanie nacjonalistów egipskich.

I Foreign Office londyńskie doskonale sobie zdaje z tego sprawę.

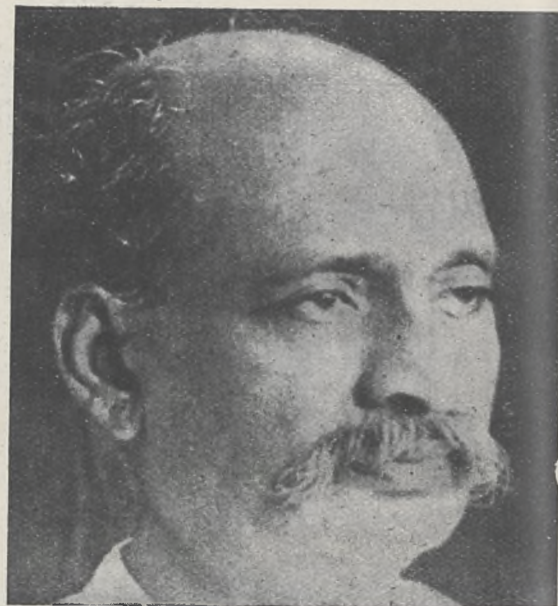
Wzdłuż kanału Suezkiego rozstawione są silne placówki zbrojne. Lecz i te mogą zawieść. Anglicy przeto pomyśleli o innym sposobie zabezpieczenia się. I jeżeli de facto wycofali się z Egiptu, to nadal dzierżą w swem ręku Sudan egipski, skąd źródło swoje czerpie Nil. Wystarczy więc, aby z Foreign Office'u wyszło rozporządzenie, a nawodnienie Egiptu może być natychmiast uniemożliwione i cała ludność skazana na łaskę i niełaskę Anglików.

Tamy więc w Sudanie są najsilniejszą zaporą, jaką Anglicy mogą wystawić przeciw ruchowi panindyjskiemu.

W ten sposób rzecz się ma z punktu widzenia teoretycznego.

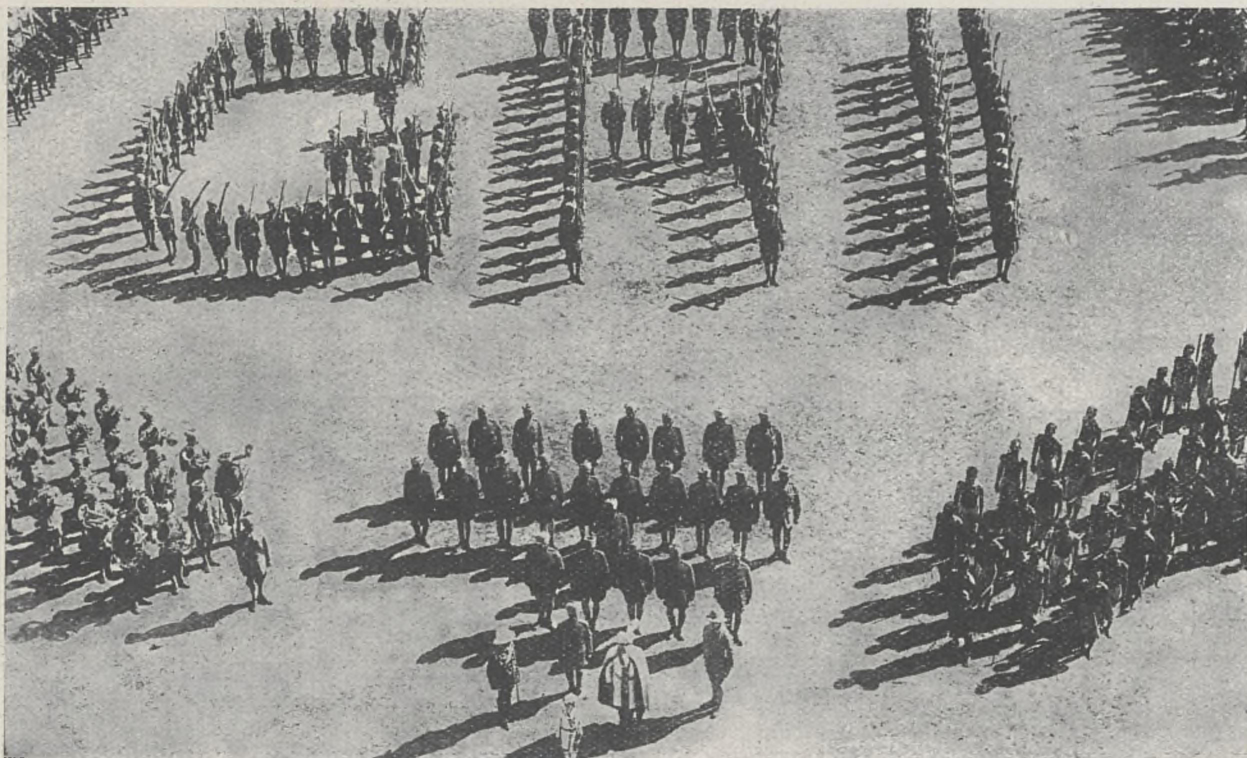
Praktycznie aliści nigdy nie mogli chyba anglicy wyobrazić sobie tak groźnego przeciwnika, jakim jest Ghandi.

Niezwykły ten człowiek budzi istotnie powszechny podziw nietylko we własnym kraju, ale i zagranicą. Wielkość jego płynie z dwóch źródeł: dobrowolnego ubóstwa i religijności. Głęboką wiarą przesiąknięte jest całe życie jego, nauki i zamysły polityczne. Wiara ta zdołaał obudzić z uśpienia masy Hindusów, otworzyć przed oczami ich piękny i nieobjęty obraz swobody, której potrzeby dotychczas nie odczuwali.



Sardal Vallabhai Patel, prawa ręka Ghandiego, został aresztowany przez władze angielskie.

I codziennie niemal z całego kraju przybywają do Gandhiego różni ludzie — prostaczkowie, magnaci i politycy. Każdy przybywa, aby zasięgnąć jego rady, a Ghandi, doskonale znając nastroje



Dla pewności, Anglicy, ćwiczą wojsko, które przeważnie składa się z rodowitych Hindusów. W razie konieczności zbrojnego wystąpienia przeciwko ruchowi Ghandiego wojsko to może się zwrócić przeciwko Wielkobrytanji (Petel)

swych rodaków, powoli, lecz pewnie, podnosi wszystkich i umacnia w przywiązaniu do idei wolności. Jego dziełem jest zbliżenie, jakie nastąpiło pomiędzy możnymi, a ludem oraz pomiędzy wyznawcami odmiennych wierzeń religijnych — buddystami i mahometanami. Jego dążeniem jest zniesienie kastowości, która hamowała dotychczasowy rozwój Indji. W zakresie poczynań gospodarczych Ghandi podjął hasło bojkotu towarów angielskich, które, zwłaszcza w dziedzinie włókienniczej, uniemożliwiały rozwój przemysłu krajowego.

Jak się rozwiną dalsze wypadki w Indji?



Małżeństwa dzieci w Indjach. Z lewej strony ośmioletnia panna młoda, z prawej czteroletnia dziewczynka i 14-letni chłopiec.



Klatki, w których wystawiane są na publiczną pogardę kobiety hinduskie, dotknięte „przekleństwem" bezpłodności.

Odpowiedź na to pytanie znajdujemy w wywiadzie jaki przewódca Hindusów udzielił specjalnemu korespondentowi „Petit Parisien".

„Czy pozbawią mnie wolności? — oświadcza Ghandi. — Wątpię w to bardzo. Anglja wie dobrze, że moje aresztowanie będzie sygnałem buntu dla Hindusów. Anglicy przypuszczają natomiast, że jeżeli pozostawią mnie w spokoju, wówczas cała akcja, którą prowadzę, sama przez się wygaśnie. Mylą się jednak i skutki tej pomyłki okażą się po 2 — 3 miesiącach. Po zakończeniu akcji zwalczania monopolu solnego rozpocznę kampanję o powstrzymanie Hindusów od spożywania napojów alkoholowych i narkotyków oraz akcję bojkotu towarów zagranicznych".

Na zapytanie dziennikarza, czy Ghandi jest pewien, że Indje odzyskają niepodległość, Ghandi odpowiedział: „Stanowczo tak". Wierzył on przez długi czas, że między Hindusami i Anglikami da się ułożyć normalna współpraca, lecz obecnie stracił tę nadzieję. Ghandi przypuszcza jednak, że byłby możliwy luźny związek między Anglją i Indjami, jednakże pod warunkiem zupełnego równouprawnienia politycznego. Hindusi będą potrzebować pomocy angielskiej w sprawach technicznych i przy szkoleniu własnego wojska jeżeli Anglja zapewni im tę współpracę".

Co na to Foreign Office?

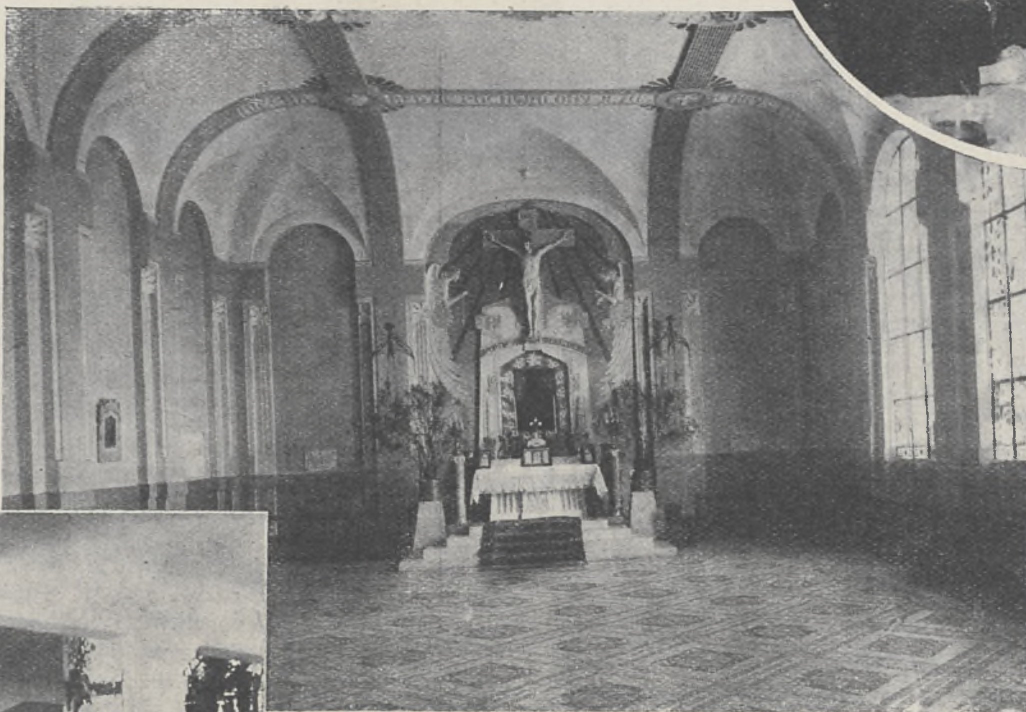


Typ dziewczyny hinduskiej. (K. S. A.)

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

Szkoła Chrzanowskiego

Wychowańców tej szkoły w jej początkach złośliwe pensjonarki nazywału „studentami Bera", na podobieństwo robiących wówczas w handlu furorę „brylantów Bera". Jakoż istotnie zewnętrzne podobieństwo do ówczesnych studentów było nieznaczne. Tegoż kroju mundury z niebieskim kołnierzem, takież czapki. Tylko, zamiast złotych „belek" na kołnierzu i złotych guzików z orłami — srebro, guziki gładkie, na czapce — palemki uczniowskie. Gimnazjum założone było na rok przed strajkiem szkolnym przez generała - lejtenanta w stanie spoczynku Pawła Chrzanowskiego. Prawnik wojskowy, człowiek o znacznej kulturze i ukrytym pod mundurem rosyjskim patrjotyzmie, postanowił na starość majątek swój, stosunki i doświadczenie zużytkować w kraju. Gimnazjum, o programie neoklasycznym, z łaciną od klasy III, bez greki, miało prawa szkół państwowych i mieściło się początkowo przy ul. Wielkiej (obecnie Poznańskiej), podczas gdy wznoszono gmach specjalny, bardzo na owe czasy piękny i postępowo urządzony na terytorjum hr. Branickiego przy ul. Smolnej, utrzymany w stylu dyskretnej secesji, w barwach pastelowych, o olbrzymich oknach, ze śliczną kaplicą szkolną. Projekt był dziełem arch.



Kaplica szkolna.



Klatka schodowa.

Chrzanowskiego. Zanim jednak gmach ów został wykończony — wybuchł strajk szkolny. Wychowańcy szkoły przy ul. Wielkiej nie zostali wtyle za innymi. Pewnego pięknego poranku w styczniu roku 1905, „niebieskie" gimnazjum zerwało lekcje, jednocześnie lub prawie jednocześnie z rządowemi: 5 gimnazjum męskiem z Pięknej i 2 gimnazjum żeńskiem z Wilczej.

Perypetje strajku szkolnego nie należą do rzeczy. Chłopcy bojkotowali szkołę rosyjską, jak inni koledzy, a rodzice — jedni, zwłaszcza od czasu słynnego wiecu w Muzeum przemysłu i rolnictwa, gorąco ruch ten popierali, inni — nie śmieli mu się przeciwstawić. Czasy były gorące, rewolucyjne; „łamistrajków" obijano, a zresztą ruch miał olbrzymią siłę atrakcyjną. Że nie było to hołdowanie próżniactwu, świadczą o tem natychmiast powstałe „ komplety", których rola w rozbudzeniu intelektualnem młodzieży polskiej może nie została dotychczas dostatecznie oceniona.

Ciekawsze jest, jak się do ruchu ustosunkował przełożony szkoły, generał Chrzanowski. Mojem zdaniem, zdał on wówczas egzamin czujności obywatelskiej. Natychmiast bowiem rzucił na szalę w Petersburgu wszystkie posiadane stosunki i wpływy, aby uzyskać koncesję na szkołę polską. Z końcem wiosny roku 1905 zdawało się, że już cel osiąga. Jednakże zimne podmuchy peterburskie zmroziły te nadzieje. Koncesja przyszła dopiero późną jesienią — kiedy okazało się, że wakacje nie ostudziły zapału młodzieży — i to koncesja strasznie okrojona. Pierwszy generał Chrzanowski otrzymał zezwolenie na otwarcie szkoły polskiej średniej, bez praw, ale z językiem wykładowym polskim, prócz języka rosyjskiego i — początkowo — historji tudzież geografji Rosji.

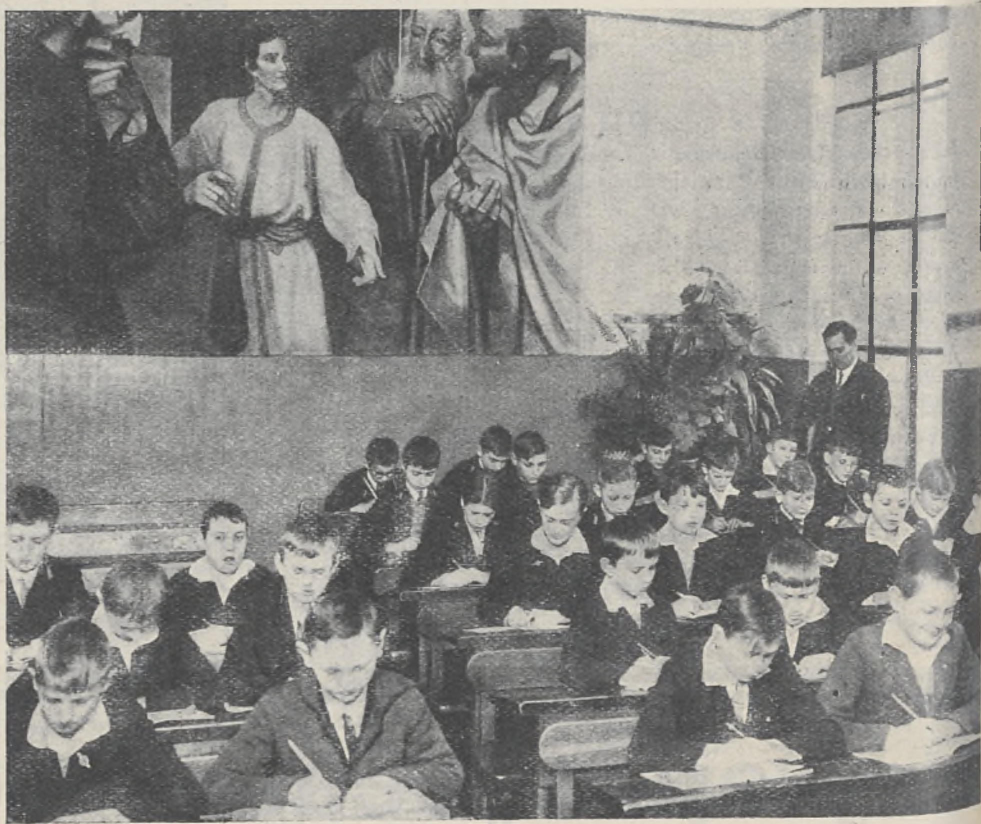
Za tą koncesją przyszły zezwolenia dla innych osób, ale. oczywiście, do szkoły Chrzanowskiego, jako pierwszej, sypnęła się młodzież. Odrazu otwarto wszystkie klasy, przyczem było po cztery i pięć równoległych oddziałów w klasach niższych, po trzy — w wyższych, i dwie ósme klasy, Ogółem w pierwszym roku swego istnienia, już na Smolnej, gimnazjum miało olbrzymią liczbę, półtora tysiąca uczniów.

Pierwszym dyrektorem został p. Włodzimierz Włodarski, nauczyciel matematyki gimnazjów rządowych w Warszawie. w roku następnym dyrekcję objął p. Andrzej Sznuk, emerytowany profesor Instytutu filologicznego w Nieżynie. Prowadził on szkołę przez kilka lat następnych, a prowadził wybornie. Razem z generałem Chrzanowskim zręcznie wymijali przeszkody, piętrzone coraz złośliwiej przez kuratorjum szkolne warszawskie, przy niesłychanie harmonijnem współdziałaniu ciała pedagogicznego, rodziców i samych uczniów.

Szkoła miała pierwszorzędne siły nauczycielskie, że wspomnę tylko prof. J. J. Boguskiego, Henryka Goldberga, Kazimierza Króla, Jana Nitowskiego, ks. Szkopowskiego, Adama Marsburga, Jakóba Segala, Władysława Nowickiego i wielu młodszych. Szczęśliwie również dobierano nauczycieli — Rosjan, zawsze życzliwych szkole, jak np. prof. Pogodina, Dubrowskiego i Spektorskiego. Rada rodzicielska stanowiła ciało do-



W pracowni przyrodniczej.



Na lekcji.

radcze, i niejedną trudność potrafiła zneutralizować. Wybitnym w niej działaczem był p. Stanisław Libicki. Co się tyczy uczniów, to trudno oddać dziś tę sumę przywiązania, dumy i gotowości bojowej, jaką dawali szkole. Uważali ją za swój twór, którego trzeba było bronić i który należało podnieść jak najwyżej.

Szkoła dawała młodzieży znaczną stosunkowo swobodę. Wyrażała się ona w wolności zrzeszeń, wydawania pisemek szkolnych i obradowania nad obchodzącemi młodzież sprawami. Było to niejako przygotowanie do obecnego „samorządu" szkolnego. Władze szkolne musiały oficjalnie siać po za tym ruchem, ale dawały mu całe swoje poparcie, narażając się nawet na niebezpieczeństwo.

Ruch ideowy młodzieży wyrażał się wówczas w dwóch kierunkach, t. zw. „narodowym" i t. zw. „postępowym". Początkowo były one mniej więcej równe w sile, następnie jednak ruch „narodowy" opanował prawie całkowicie szkołę Chrzanowskiego. W latach 1909 — 1912 ogniskowały się w niej władze centralne tego odłamu młodzieży na całą Kongresówkę. „Studenci Bera" zrobili się zczasem prawdziwymi p. o. studentami, bo w braku młodzieży akademickiej w Warszawie reprezentowali w społeczeństwie „najstarszą" młodzież i jej dążenia.

Z wielu walnych facecyj, jakie zostały mi z czasów szkolnych w pamięci, jedna jest bardzo charakterystyczna. Przybył do szkoły delegat kuratorjum w charakterze wizytatora. Zwrócił on z ubolewaniem uwagę dyrektora Sznuka, że w sali aktowej, gdzie odbywały się zabawy w czasie pauz, niema portretu cesarskiego. „Szkoda, że panowie nie pomyśleli o tem, aby młodzież mogła widzieć oblicze swego monarchy..." — powiedział Moskal słodko.

— Portret jest w sali profesorskiej — odpowiedział prof. Szunk.

— Tak, ale to nie wystarcza...

— Widzi pan, panie wizytatorze — odpalił mu dyrektor — tutaj chłopcy grywają w piłkę... Nie daj, Boże, nieszczęścia: jeszczeby piłka mogła uderzyć w portret... To byłoby może *niełowko*...

Nic dziwnego, że młodzież, podtrzymywana w czynnej irredencie przez kierowników, dała obecnemu pokoleniu Polski znaczną ilość wybitnych ludzi, a przedtem obficie krwią swoją pola bitew zrosiła.

Dziś szkoły Chrzanowskiego, jako takiej, już niema, po śmierci założyciela, spadkobiercy odstąpili ją konsorcjum rodziców i nauczycieli. W gmachu przy ul. Smolnej istnieje obecnie pierwszorzędne gimnazjum męskie im. Zamoyskiego. Została nasza dawna czapeczka *Bleu électrique*, o nieco tylko zmienionym kształcie, ta czapka, którą dano nam w swoim czasie na miejsce dawnej, „studenckiej". Została niewątpliwie tradycja miłości dla szkoły, prowadzonej wybitnie od szeregu lat przez dyr. Lipskiego. My, dawni wychowańcy, czujemy z nią dotąd łączność i widzimy w niej zawsze naszą pierwszą po strajku szkolnym ostoję — pierwszą szkołę polską.

WIKTOR PRZECŁAWSKI.



III

Ta oficerska „zapalczywość" jest aż nadto wytłomaczona. Nie należy zapominać, że w przeciągu pierwszych czterech lat rządów Konstantego, 49 polskich oficerów popełniło samobójstwo, nie mogąc przeżyć ciężkiej obelgi, doznanej publicznie. Konstytucja Królestwa Polskiego była dla w. ks. Konstantego li-tylko przedmiotem drwin i obelgi.

„W. ks." — opowiada D. W. Dawidow w swoich „Zapiskach" — „mawiał do oficerów przy wszystkich: Vous u'etes que des cochons et des misérables; c'est une vraie calamité que de vous avoir sous mon commandement; ja wam pokażę konstytucję!".

Nie lepiej zresztą działo się żołnierzom, których w. ks. niby to tak bardzo cenił i „szanował" Pod jego „wspaniałem" dowództwem przeżywali nieopisane katusze, traktowani bezwzględniej i gorzej, niż niewolnicy starożytnośni.

Marzeniem w. ks. było przekształcenie armji w „idealną maszynę", któraby wolę wodza spełniała tak, jak fabryczne narzędzie spełnia wolę kierującego niem majstra. Ale armja polska nie była nigdy bezduszną maszyną, i najprostszy żołnierz, szczególnie w tych czasach, jeśli nie miał swoich świetnych wspomnień, to uczestniczył jednak w potężnej tradycji, i dzięki niej posiadał ideał. W. ks. rosyjskiemu, którego dzika, tatarska natura nie znosiła przejawów obcego dlań, a dumnego i szlachetnego ducha, nie mogły się, oczywiście, podobać te ideały, nie był w stanie zresztą odczuć ich i zrozumieć pojęcia „wolność", „prawo narodu", „swoboda ducha" były dlań zapewne niczem innem, jak tylko bezecnym wymysłem wielkiej rewolucji francuskiej, były więc oznaką „buntu", głupstwa" i t. p., zasługującą na „knuty i Sybir". Postanowił więc zabić ducha armji polskiej, postanowił stworzyć „maszynę", — a ponieważ był tylko rosyjskim satrapą, pół-barbarzyńcą i księciem, tedy ustanowił dla żołnierzy „ojcowską karę", a mianowicie: pałki. Te nieszczęsne pałki nie odpoczywały nigdy i nawet według opowieści rosyjskiego historyka (I. Riabinina) ciężko poranionych i pobitych żołnierzy było zawsze tak wielu, że w warszawskich szpitalach miejsc dla nich brakowało. Ten jaskrawy fakt dostatecznie ilustruje gospodarkę Konstantego w Polsce. Nawet srogi A. Benckendorf, szef żandarmerji, stwierdzał niejednokrotnie, że w. ks. jest dla Polski strasznym ciężarem, a nawet sam cesarz Mikołaj zgadzał się z tem twierdzeniem.

Bo, niestety, nietylko nad armją polską znęcał się Konstanty. Niedarmo przecież wrzeszczał: „ja wam pokażę konstytucję".

7.

Według tej konstytucji władza wykonawcza spoczywała w rękach namiestnika Królestwa Polskiego. Olbrzymia większość ówczesnego społeczeństwa polskiego pragnęła widzieć na tem najwyższem stanowisku ks. Adama Czartoryskiego, którego wiedza, energja i przekonania dawały gwarancję, że konstytucja nie dozna uszczerbku, i że w sprawy zarządu cywilnego, któremi zarządzać miał prawo tylko namiestnik, nikt rzeczywiście wtrącać się nie będzie. Ale właśnie dlatego w. ks. Konstanty nie chciał słyszeć o ks. Czartoryskim, i wysunął na to najwyższe w ówczesnej Polsce stanowisko generała Józefa Zajączka. Cesarz Aleksander dał się przekonać, nadał Zajączkowi tytuł książęcy i mianował go swym namiestnikiem. I tu stała się rzecz dziwna, mało oczekiwana (choć ze stanowiska psychologicznego może być rozwiązana i zrozumiana), a która w niemałej mierze przyczyniła się do ówczesnych nieszczęść Polski i do wybuchu powstania.

Generał Józef Zajączek, patrjota z krwi i kości, wspaniały starzec, reprezentacyjny, beznogi— miał za sobą świetną, budzącą zaufanie przeszłość. Uczestniczył przecież w dwuch wojnach przeciwko Rosji, był jednym z wodzów powstańczych, i nigdy nie ukrywał swych gorących, republikańskich przekonań. Lecz teraz ten mężny żołnierz i dzielny dowódca, ten świetny uczestnik Kościuszkowskiej rewolucji i napoleońskiej epopei, zostawszy księciem i namiestnikiem, zmienił się gruntownie i do niepoznania, zmienił się poprostu strasznie i niezrozumiale. Stał się uniżonym pochlebcą i pokornym sługą w. ks. Konstantego, poniżył fatalnie swą godność żołnierza i Polaka,— i, oczywiście, robił tylko to, co mu kazano. Nie był dygnitarzem Polski, nie był namiestnikiem cara. Był tylko jednym z urzędników despotycznego w. ks.

Ten „martwy starzec" — tak wyraża się o nim rosyjski historyk Karnowicz — był na stanowisku namiestnika niczem; cała władza była najpierw niepodzielnie w rękach w. ks. Konstantego, a później także w najpodlejszych i najwstrętniejszych łapach carskiego komisarza Mikołaja Mikołajewicza — Nowosilcewa.

Ten Nowosilcew, którego historycy rosyjscy nazywają „złym genjuszem Polski", był łotrem na wielką skalę. Brał niegdyś udział w spisku Palena. Zubowa i in., który, jak wiadomo, doprowadził do zamordowania cara, (1801 r.) został później zaufanym człowiekiem i przyjacielem Aleksandra I-go, i jako taki stał się także „złym genjuszem" Rosji. W raportach, które co tydzień wysyłał do Petersburga, starał się Nowosilcew przekonać cara o konieczności stosowania represyj w Polsce i dążył wszelkiemi siłami do obalenia konstytucji Królestwa. Jemu również „zawdzięcza" Polska organizację tajnej policji, która utrzymywała całą armję szpiegów i zatruwała nietylko społeczne, ale i prywatne życie obywateli.

J. Grudzińska, Księżna Łowicka.

Tak więc — w rękach despotycznego w. ks. Konstantego i zdecydowanego wroga Polski Nowosilcewa konstytucja Królestwa stała się wkrótce martwym papierem. Warszawianie, którzy mawiali z początku, „że konstytucję mamy na stole, a knut pod stołem", teraz mówili otwarcie: „knut mamy na stole, a konstytucję pod stołem". Zgodnie z konstytucją 1815 r. sejm polski powinien był zbierać się co dwa lata, w rzeczywistości zaś w ciągu 15-sty lat istnienia Królestwa Kongresowego zebrał się zaledwie cztery razy. Już pierwszy sejm 1818 roku domagał się przyznania mu prawa rozpatrywania budżetu państwowego, wydania ustawy o wolności prasy, co było przewidziane w konstytucji, oraz rozpatrzenia i ustalenia sprawy poboru rekruta, — lecz wszystkie te starania rząd pozostawił bez odpowiedzi. Następnie sprawy finansów zostały wogóle wyłączone z pod kompetencji sejmu, — w sprawie poboru rekruta odpowiedziano, że zależy ona w pierwszym rzędzie od uzgodnienia jej z w. ks. Konstantym.

(D. c. n.)



Łuk Tryumfalny z al. Marsz. Focha.

WANDA GRABIŃSKA.

TROCHĘ KONTRASTÓW

Depesze z Genewy przyniosły wiadomość, o kolosalnym sukcesie, jaki odniosła na forum genewskiem pani Wanda Grabińska, delegatka Min. Spr. Zagranicznych, na kongresie opieki nad dzieckiem.

Pani Wanda Grabińska jest pierwszą w Polsce kobietą-sędzią — ale jest też zarazem świetną prelegentką radjową. Wśród doskonałych audycji mówionych Polskiego Radja feljetony mówione p. Grabińskiej zyskały sobie wielki rozgłos.

Redakcja „7 Dni" uczyniła wszystko, ażeby jeden z tych feljetonów otrzymać do druku. Dla interesujących się jak pc winien być przygotowany mówiony feljeton do radja — „Trochę kontrastów" będzie bardzo cenną wskazówką.



Perspektywa na operę paryską.

Przez wąskie szpary rolet wsącza się dzień jasny i błękitny. Jest tak cicho, że wydaje mi się nieprawdopodobnem, iż jestem w sercu tego wspaniałego miasta tuż koło Łuku Triumfalnego i pól Elizejskich.

Patrzę na zegarek.

— Dziewiąta! A tom spała jak suseł. Za chwilę przyjedzie Żaklina porwać mię na spacer. Potem Sąd dla nieletnich..., potem więzienie... Czy aby zdążymy?

Topię w zimnej wodzie resztki snu i myśli o Warszawie. Dzwonię na śniadanie. Zaczynam pić kawę, gdy hałaśliwy telefon odejmuje mi nadzieję skończenia wybornej mokki...

— Pani adwokatka Bertillon czeka na Panią na dole, — komunikuje mi portjer.

Schodzę na parter. Przed drzwiami mego hotelu niecierpliwi się mały Peugeot warcząc i wrzeszcząc ostremi sygnałami.

Żaklina siedzi przy kierownicy. W futrze, z głową odkrytą i pochyloną naprzód, tworzy wyobrażenie nagle znieruchomiałego pędu.

— Śpiesz się! — woła.

Wskakuję do auta. Ruszamy.

Błyskawicznym ruchem przesuwamy się przez Plac Gwiazdy i za parę minut wpadamy w jasny korowód złocistych drzew.

Lasek Buloński...

Ogarnia nas świetlista cisza i powietrze pełne smaku więdnących przepychów. Peugeotka mknie jak strzała po gładkim asfalcie...

Zachwycone oczy pragną przedłużyć tę drogę w nieskończoność.

Patrz! Oto drzewa drogi moich wspomnień. — rzuca z nad kierownicy Żaklina.

— Jakże często przychodziłam tu z matką My, paryżanie, zostawiamy tutaj cały czar naszego dzieciństwa, a później wracamy do lasku napić się czystego powietrza i... sentymentu!

— O — tu stał klasztor zniszczony przez rewolucję... A skazani na gilotynę kryli się przed sankiulotami w gęstwinie bulońskiej... Wytrzebiono ją później... Dużo widziały te drzewa.

Mijamy maleńki, opuszczony cmentarzyk.

— W tem miejscu jest grób tancerki, za którą kiedyś szalał Paryż. Dziś ledwie kto pamięta jej imię — tout passe...

Wyjeżdżamy z Lasku, wpadając w obręb świetlistej panoramy. Paryż i Sekwana oblana złotem, a w dali lasy Meudon i Sevres giną w błękitnej mgle...



Aleja dla „bogatych" w lasku bulońskim.

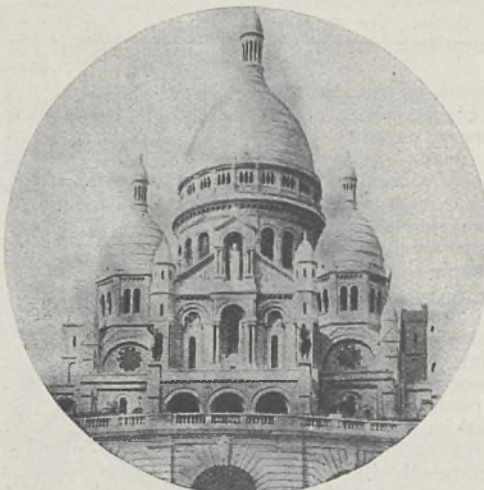
— To ulubiony widok Pompadour, — zakreśla łuk ręką Żaklina. — Tu stał kiedyś jej pałac — Bellevue. Zmiotła go rewolucja.

— A tutaj patrz! — to już Wersal.

Zajeżdżamy przed złocone sztachety.

— Stop!

Wyskakujemy z auta. Zbliżamy się do pałacu. Szary, długi budynek o prostych linjach. Drogocenna szkatuła przepychów i pamiątek Francji. Poniżej jasne symetryczne żwirowe tarasy, ujęte w gęstą ramę starych drzew, spływają w ciemną, stalową taflę jeziora. Jakiś ogromny spokój leży w tych majestatycznych linjach. Spokój? — A może martwota? Tętniące gdzieś w oddali życie Paryża wydaje się tu dalekie i nierzeczywiste — wszystko co przeszłe nabiera barwy i życia.



Dominujący nad Paryżem Sacré-Coeur.

Schodzimy w dół. Mijamy strzyżony park Wersalu i krótką przestrzeń lasu. Przed nami nieduży, lekki, w pastelowych tonach różowego marmuru, pałacyk.

— To Trianon.

Prześliczne klomby jesiennych kwiatów otulają go puszystym szkarłatem.

Idę wgłąb parku. Naprzełaj — śladem zadeptanych ścieżek... Pod nogami szeleszczą zeschłe liście, a u góry orgja barw jesiennych. Stare, wysokopienne drzewa splatają się ramionami w ulewie czerwono - złotych plam. Tu i owdzie — nieoczekiwanie — tryska słup jasnej zieleni, która przespała lato. Błękitna cisza jasnego powietrza czyni złudzenie wiosny. Wilgotny, słodki oddech ziemi łagodnie przypomina o śmierci.

Myślę o mieszkankach Trianon, faworytach królów Francji. — Pompadour... Dubarry... I o Marji Antoninie. Wiodła tu życie miłe i proste W Trianon nie była królową, była sobą. — Tu kryła się przed ścigającą ją kalumnią i nienawiścią Francji. Tutaj rozkoszowała się swobodą, wierząc naiwnie, iż w obrębie tego cudnego parku, w małych cudacznych chatkach wiedzie życie a la Jean Jacques Rousseau — na łonie natury.

Jakże długo chciałoby się tu pozostać, — do ostatniego promienia słońca!... Ale nieubłagany zegar wskazuje południe. Najwyższy czas do Sądu.

Puszczamy w ruch maszynę. Szybko zbliżamy się do Paryża. Mijamy wyżyny Saint - Cloud, Pole Marsowe, Trocadéro, Place de Varsovie. Wszędzie przewala się gwarny południowy ruch Paryża. Lśniące rzędy aut. Setki ludzi zdążających pośpiesznie. I dzieci prowadzone na spacer. Prześliczne, francuskie dzieci ubrane jak lalki z wystaw sklepowych.

Przesuwamy się koło polskiej ambasady. Place de l'Alma. Pozdrawiam pomnik Mickiewicza. Jedziemy wzdłuż Tuileries i skrzydeł Louvre'u.

— Oto balkon, z którego strzelał Karol IX w noc Bartłomiejową...

Przejeżdżamy przez Pont des Arts. — Gdzieś tutaj „sprzedawał słońce" handlarz pani Rachilde... Mijamy półkole Instytutu. Po chwili wybrzeże wolterowskie z pomnikiem filozofa, który nie przestaje uśmiechać się sarkastycznie. Na lewo Chatelet ze złocistą kolumną zwycięstw napoleońskich: tu odbył się ów szczególny proces Marji - Antoinetté'y. Naprzeciw — Conciergerie, gdzie dumna królowa czekała dwa miesiące na szafot.

Przesuwamy się koło najstarszej dzielnicy Paryża. Lutecja. Dawna droga rzymska. A tuż obok jarmark na kwiaty. Dziesiątki zielonych doniczek pod rozpiętemi parasolami z szarego płótna. Okrążamy go, wysuwając się przed złoconą bramę Pałacu Sprawiedliwości.

Stajemy. Żaklina stawia auto w rzędzie kilkudziesięciu maszyn, któremi adwokatura francuska przybywa do Palais de Justice.

Wchodzimy do wnętrza. Wielkie, jasne korytarze pełne ruchu i gwaru. Adwokaci w fałdzistych, czarnych togach z białemi żabotami mijają się pośpiesznie, to znów stojąc grupami rozmawiają żywo. Nierzadko wykwita wśród nich głowa kobieca. Wszak Paryż ma już dwieście adwokatek!...

Przechodzimy przez ogromną „salle des pas perdus" — znowu szereg korytarzy. Można się zgubić w tym labiryncie. Mijamy podwórzec i stajemy wreszcie przed drzwiami z napisem „SĄD DLA NIELETNICH". Ogarnia mię wzruszenie. O tej porze, tam — u mnie, odbywa się rozprawa sądowa.



Sprzedaż uliczna kwitnie koło Tuileries.

— Co też się dostaje moim szkrabom i sztrabanclom?

Wchodzę do wnętrza. Poczekalnia pełna ludzi: zatroskani rodzice, spłoszone dzieci, zniecierpliwieni świadkowe... Tak samo jak u nas... Wsuwam się na salę rozpraw. Posiedzenie rozpoczęte. Przy długim stole, na podjum trzech sędziów, poniżej sekretarz, z boku, przy wysokim pulpicie — prokurator. Wszyscy ubrani w togi. Na ławkach dla publiczności około dwudziestu osób. Adwokaci i przedstawiciele patronatów.

— Gdzież są dzieci?

Z boku, pod ścianą długa drewniana ława oddzielona od sali wysoką balustradą, tak, iż wyjść poza nią nie można.

Tam siedzi oskarżony — jakiś mały czarny chłopak; a obok... pięciu policjantów! — Szósty na sali przy drzwiach — pilnuje porządku.

Trafiam na koniec przewodu sądowego.

— Ludwiku Nevin — mówi sędzia przewodniczący dźwięcznym, sympatycznym głosem. — Wszystkie okoliczności sprawy zostały już wyświetlone. Udowodniono ci czwartą z rzędu kradzież. Co chcesz powiedzieć na swoją obronę w ostatniem słowie?

Chłopak wstaje. Ma ręce skrzyżowane na piersiach i podniesioną głowę.

— Nic. — rzuca porywczo.

— Lulu... ukorz się przed sądem... — łka matka, usiłując dosięgnąć chłopca ręką po przez przegrodę balustrady.

— Ludwiku Nevin — ogłasza przewodniczący. — Na początku swego złego sprawowania byłeś oddany matce, później miałeś opiekuna sądowego, ale i to nic nie pomogło... Sąd skazuje cię dzisiaj na umieszczenie w kolonji poprawczej do pełnoletności...

Chłopak stoi hardo. Chce przyjąć wyrok spokojnie, ale twarz mu się kurczy i łzy nabiegają do oczu. Matka zato wybucha strasznym szlochem. Pada na kolana i wyciągając ręce w stronę sądu woła:

— To mój jedyny syn! Zmiłujcie się panowie, oddajcie mi go jeszcze... to moja wina... to ja go źle chowałam... byłam za słaba!...

— Dlatego też obecnie będzie go chować Państwo — odpowiada przewodniczący suchym, spokojnym głosem.

— Nie płacz, mamo — rzuca chłopak wyprowadzany przez policję. — Nie płacz... — Zobaczymy się niedługo! Ja ucieknę!...

Otóż odrazu trafiłam na „niepoprawnego".

W tej samej sztywnej atmosferze przesuwa się szereg drobnych postaci. Mali włóczędzy, żebracy, złodzieje... Te same co u nas występki i takie same dzieci. Tylko nastrój trochę inny...

— Czy nie masz już tego dosyć? — szepcze nagle tuż koło mnie Żaklina. — Przyszłam cię zabrać.

Wymykamy się niepostrzeżenie.

— Uff!! — Oddycham głęboko na dworze.

— Czy nie mogliście wymyślić większego aparatu do sądzenia waszych dzieci. Trzech sędziów dla jednego dziecka... Pięciu policjantów? Poco to?

— Nikt z nas tego nie wie. Ot, stara strupieszała procedura. Przed jej naprawieniem chodźmy jednak coś zjeść, bo umieram z głodu.

— Ja też. Żaklino! Zapraszam Cię no polski obiad do polskiej oberży!

— Gdzież to jest?

— W pobliżu Luksemburga. Rue Royer-Collard. Bartek!...

— Aha! wiem, no to jazda!

Wsiadamy do auta i ruszamy prędko, jak konie do żłobu. Przez ruchliwy plac św. Michała wpadamy w dzielnicę łacińską — siedlisko wiedzy i szkół.

Posuwamy się w górę zadrzewionym bulwarem. Mijamy ciemno - szary kościół Sorbony, żółto - złoty Luksemburg i ciężką, neogrecką fasadę Pantheonu; tam spoczywają wielcy ludzie Francji.

Wjeżdżamy w wąską uliczkę, gdzie ledwie jest miejsce dla małego samochodu. Stop!

— Oto Bartek, oberża polska!...

Wąski, długi pokój, zastawiony stołami i krzesłami poza granice możliwości. Na ścianach niezliczona ilość polskich sztychów i rycin. Bojownicy za wolność, rycerze i poeci. Króluje Mickiewicz. A u góry wesołe podhalańskie malowanki i wzory. Jakiś poczciwy patheton wygrywa jak może swojskiej melodje, — wpadają mi w ucho, jak najcudniejsza muzyka! Z miłem wzruszeniem oglądam tę wysepkę polskości, ale głód gasi sentymentalną zadumę. Chwytam kartę.

— Żurek, prawdziwy polski żurek i zrazy z kaszą po polsku i naleśniki po litewsku.

—Garçon! Gdzie jest garçon?

Zjawia się młody chłopak. Włosy żółte jak konopie, oczy niebieskie.

— Ani chybi, — nie Francuz.

Usługuje nam sprawnie, znosząc różne polskie smakowitości, które po francuskiej kuchni wydają mi się rajem. Żaklina też jest zachwycona i błaga mię o przysłanie polskiej książki kucharskiej... w języku francuskim!... Wreszcie jesteśmy po obiedzie.

— Pan jest Polakiem? — zapytuję naszego garçon, płacąc rachunek.

— Ajakże, z pod Krakowa.

— Dawno tutaj?

— Od trzech lat.

— No i cóż, dobrze się panu wiedzie?

Chłopak spuszcza głowę.

— A tak... raz dobrze... raz źle.

— Dawno tu pan pracuje?

— U Bartka? Pierwszy dzień.

— A przedtem?

— Przedtem to byłem bez pracy przez pół roku. Wyniszczyłem się całkiem...

— Czy nie lepiej było wrócić do kraju?

— A bo w kraju lepiej?... Coraz to przyjeżdża tutaj nowa partja robotników... Tam też życie twarde... A zresztą skąd wezmę na drogę? Nie ja jeden tak się męczę.

Rozmowa się urywa.

— Garçon! — woła ktoś od drugiego stołu.

Jesteśmy znów w aucie. Ulicą św. Jacka jedziemy w dół do Sekwany. Z prawej strony w opalowym welonie wczesnego zmierzchu rysują się koronkowe łuki Notre Dame. Zatłoczonemi, wąskiemi ulicami brniemy z trudnością ku górze w kierunku hal targowych poprzez dawne przedmieścia. Stajemy przed szarym, ponurym gmachem.

To Saint Lazare — WIĘZIENIE!

Naciskamy dzwonek. Ciężko, zgrzytliwie otwiera się czarna, żelazna brama, chłonąc nas do wewnątrz.

Przedsionek. Czekamy tam chwilę. Z głębi więzienia przesuwa się ku wyjściu parę postaci kobiecych. Zniszczone twarze, wyszarpane ubrania, w ręku małe zawiniątka. To więźniarki wychodzące na wolność... W oczach ich nie widzę radości... Raczej lęk i niepewność... Czyżby się bały tego nowego jutra za murami? Jutra w Paryżu?...

Wprowadzają nas do Dyrektora. Zamieniamy konwencjonalne słowa. Przedstawia nam zakonnicę z pękiem kluczy u pasa.

— Siostra pokaże paniom więzienie, zna je jak stary grosz, bo pracuje tu już od 30 lat.

— Trzydziestu dwuch — poprawia zakonnica, uśmiechając się z pod białego kwefu. — Proszę panie za mną.

Znowu zgrzyt klucza. Wchodzimy do wnętrza. Chłonie nas noc ciemnego korytarza. Trzeba dobrze wytężać oczy nieprzyzwyczajone do mroku. Żadnego okna, żadnego dostępu światła z zewnątrz, tylko w paru punktach u góry jarzą się niepewnie mdłe gazowe lampeczki. W ich skąpem, zielonem świetle widać szereg małych drzwi do cel. Siostra - przewodniczka otwiera nam jedną z nich. — Kilkanaście żelaznych łóżek nierówno zasłanych brązowemi kocami. W paru miejscach rozrzucone części odzienia... parę stołków... Stół, na nim garnek z odbitą emalją i podarta książka do nabożeństwa. Ściany ciemno - szare. Posadzka kamienna. Przeraźliwie zimno. Dowiaduję się, że cele te nie są nigdy opalane. Więzienie nie ma ani pieców ani centralnego ogrzewania.

— To stary budynek poklasztorny z XVII w. — tłomaczy nam zakonnica — a nowoczesny remont tych zabudowań przewyższałby ich wartość.

— Więzienie to jest pod znakiem skasowania już od czasów Ludwika XVI — dorzuca Żaklina. — Od tej pory każdy parlament uchwala zniesienie tego wrzodu Paryża. A Saint Lazare wciąż stoi, mimo że pół godziny od stolicy mamy wspaniałe więzienie we Fresnes, gdzie pomieszczonoby te wszystkie kobiety.

— Więc, dlaczego?...

— Konserwatyzm! Rozumiesz. U nas tak trudno coś zmienić. Szkoda niszczyć to co istnieje

Oglądamy cele - pojedynki. Wyglądają jak klatki dla zwierząt. Krata zamiast zewnętrznej ściany. Wewnątrz tyle miejsca, ile może zająć łóżko i stołek. Tu zimno jeszcze większe, gdyż chłód wieje z korytarza.

— Jakże one, proszę siostry, mogą tu wytrzymać w czasie mrozu? — wymyka mi się z ust.

— Dostają podwójne koce. A zresztą trudno — to jest więzienie...

— Ach! Prawda, zapomniałam, że to nie Wersal!

Przechodzimy dalej przez sale jadalne o długich stołach i ławach. W jasnej i czystej kuchni dowiaduję się, iż aresztantki otrzymują jeść dwa razy dziennie. Śniadanie o 6 rano i obiad o 2 popołudniu. To wszystko. Idąc jakimś korytarzem spotykam na drzwiach napis: „Bibljoteka". Chcę ją obejrzeć, ale okazuje się, że jest to tylko napis, — ślad przeszłości. Obecnie bibljoteki w więzieniu niema.

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)



Pałac Senatu.

WŁODZIMIERZ POPŁAWSKI

ZWYCIĘSTWO



Wojna schwytała Miltona Brook'a na gorącym uczynku sięgania na najwyższy szczebel żmudnej, ale upojnej karjery bokserskiej.

Był w „formie", jak rzadko który pięściarz w jego wieku.

Bo Milton Brook miał dopiero dziewiętnaście lat, gładko przyczesaną blond czuprynę, blade „dystyngowane" oblicze, melancholijne spojrzenie jasno błękitnych źrenic i... wogóle niczem nie zdradzał swego groźnego fachu.

Można było domyślać się, że ten bladolicy, szczupły, średniego wzrostu młodzieniec jest co najwyżej jakimś praktykantem bankowym, podrzędnym urzędniczkiem linji okrętowej, czy wreszcie początkującym, bardzo jeszcze nieśmiałym dziennikarzem. Wszystkiem, tylko nie — bokserem.

Śladu atletycznej budowy, mięśni rozpierających tkaninę garnituru. Nos nawet był idealnie prosty, wcale nie przetrącony, a uszy jak u normalnego, przyzwoitego gentlemana.

Nic.

Ręce — raczej małe, kobiece, zawsze starannie utrzymane, prawie wypielęgnowane, bez najmniejszych śladów zdrapań, skaleczeń, tak nieodzownych w bokserskim zawodzie.

A jednak te małe pięści potrafiły bić niczem wielkie, djabelnie ciężkie, twarde młoty. Trafnie i błyskawicznie. Te pięści knock-out'owały jednego po drugim wszystkich mniej lub więcej groźnych przeciwników.

Milton Brook szedł naprzód bez chwili wahania, prawie bez odpoczynku. Dzienniki śpiewały mu hymny pochwalne, każde spotkanie musiało być fil-
Dziennki śpiewały mu hymny pochwalne, każde spotkanie musiało być filmowane. Coraz bardziej wzmagało się zapotrzebowanie na fotografje „Bladego chłopca" (tak go popularnie nazywano). Rósł popyt na autografy...

A wszystko to mógł Milton Brook zawdzięczać tylko swemu ojcu.

Stary Tom na ringu już nie pokazywał się. Miał bezmała sześćdziesiąt lat, po kościach tłukł się reumatyzm, słabły starcze oczy.

Syn musiał przejąć od ojca świetne imię Brook'ów — bokserów. Było ich bowiem w tej rodzinie przedziwnie dużo.

Tom, zanim oddał chłopaka w ręce menagerów, ćwiczył z nim całe dnie. Całe dnie mijały na gimnastyce, na ćwiczeniach, lub bardzo plastycznych i namacalnych wykładach ustnych.

Chłopak wyglądał na światło dzienne najczęściej tylko poto, aby przebiec swoje ileś tam metrów, trochę poskakać, przerobić parę ćwiczeń. To wszystko.

Ojciec trzymał go krótko.

Potem, kiedy przyszły pierwsze występy, a zaraz po nich zupełnie niespodziana, odurzająca sława... nic w życiu Miltona Brook'a zasadniczo nie zmieniło się. Było o tyle gorzej, że prócz ojca strzegł go teraz i menager.

W tej atmosferze, zupełnie pozbawionej cieplejszych, słoneczniejszych przebłysków, zawsze narażony na zły humor starzejącego się ojca i ordynarne szykany menagera, chłopak rósł, tężał, krzepł, a jednocześnie coraz silniej, coraz głośniej krzyczała w nim nieutulona tęsknota za swobodą wesołego, radosnego życia.

Za samodzielnością!

Zwyciężał coraz częściej.

Brał coraz wyższe honorarja.

Aż... wojna!

Milton Brook życie znał problematycznie. Przez pryzmat czytanych gazet i ojcowskich opowieści.

Milton Brook nie mógł pić, broń Boże palić, a już z dziewczętami...

Tymczasem wojna otwierała szersze, radośniejsze perspektywy. Przed oczyma „Bladego chłopca" przesuwały się cudowne, kuszące czarem samodzielności i „innego" życia, obrazy.

Więc poszedł, a raczej... uciekł im.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Co było i jak było na tej wojnie; czy rzeczywiście Milton Brook uzyskał wreszcie tak upragniony, wytęskniony samodzielny byt — nie wiadomo.

Próbował coprawda pić i palić, ale... jakoś nie bardzo smakowało. Wrócił do dawnego żucia gumy.

A jak wepchnęli go w cuchnące, pełne nigdy niewysychającego błota i dokuczliwego robactwa, rowy strzeleckie — to gdzie tam szukać dziewczyn...

Był dobrym żołnierzem.

Kazali bić, bił. Kazali uciekać, uciekał. Jak zegarowy, precyzyjny mechanizm.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Tom Brook nie poznał swego syna.

Stała przed nim w słonecznej poświacie lipcowego poranku, jakaś potworna maszkara. Jakaś niesamowita, straszna zmora. Delikatnie potrząsał wiatr pustym rękawem druga ręka niepewnie błądziła po framudze drzwi. Twarzy Milton Brook nie miał. Ani jasno-błękitnych, melancholijnych źrenic, ani ładnie wykrojonych, prawie kobiecych warg.

Czerwieniał tylko wielki płat jakgdyby oparzonego mięsa, pełen czarnych, obrzydłych dołów, w których kiedyś tkwiły źrenice, czy uśmiechały się zdrowe, mocne zęby.

Eh!

Pieniądze rozlazły się dziwnie prędko. Nikt przecież świeżych nie dostarczał. Zaczęła gnieść bezlitosna nędza. Inwalidzka emerytura była przedziwnie mikroskopijna.

Sprzedawali więc, co się dało. Począwszy od małego domkuwilli, kupionego jeszcze przed wojną za Miltonowe zarobki, a skończywszy na ubraniach.

Podczas wyborów partja pacyfistyczna zaangażowała inwalidę. Dali sto dolarów i obwozili po kraju jako jaskrawy, druzgocący przykład okropności wojny...

Ale — wybory skończyły się, dolary także, a nędza nie ustępowała ani na krok.

I przyszedł wreszcie dzień, kiedy prócz skrzynki radjo-odbiornika, w małej klitce—poddaszu jedenastopiętrowego kolosa Tom Brook nie znalazł już nic do sprzedania.

A aparatu znów syn nie dawał. Całemi dniami siedział przy nim, nocami — spał obok niego.

Ta mała, niepozorna skrzyneczka była dla niego jedyną radością, jedyną osłodą.

Mówił do niego z niewidzialnego głośnika cały wielki i piękny świat.

Świat słoneczny, roześmiany. Świat najwyższych radości, najcudniejszych przygód. Świat, którego zasadniczo nie znał, a mimo to kochał gorąco całem, biednem sercem. Na ekranie wiecznej nocy czyjeś dobrotliwie dłonie malowały miljardami baśniawych błysków te wszystkie czary dalekich krain. Jak ranne mgły płynęły pieszczotliwe szemrania dalekich, obcych pieśni, słowa niezrozumiałe, a tem samem dziwne, urocze, drażniące. Muzyka to tęskna, łkająca, to trzaskająca rakietami synkop, to znowu przewalająca się jak daleka, groźna burza. Całe godziny tkwił ex-bokser przed tym czarodziejskim sprzętem, a w głębiach duszy działy się rzeczy zgoła dziwne.

I radość warjacko hasała i zarazem ryl, szarpał podły, wnikliwy smutek, że inni to wszystko słyszą bezpośrednio własnemi uszami, własnemi oczami widzą, że przecież mógłby i on, gdyby nie...

Zarabiał kiedyś stosy pieniędzy, był zdrów.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

— Pojutrze idę na ring.

Skoczyły chropowate słowa ojca do uszu ślepca.

Aż zakołysał się całym swym kalekim kadłubem.

— Dokąd? — wyszeptał z trudem.

— Na ring. Coś jeść musimy.

Wtedy zrozumiał. I już o nic nie pytał, przywarł tylko wspomnieniem młodzieńczych, pełnych warg do suchej, twardej ręki starca.

Tom Brook wiedział, jak się urządzić. Nie poszedł walczyć, gdzieś w jarmarcznej budzie. Pogadał z Mac Croml'em i... jakoś się udało.

Croml był menagerem sprytnym. Wybrał na przeciwnika Bena Hicks'a, asa wschodnich Stanów. Spotkanie rozreklamował, jak nikt.

Tom Brook, ojciec Miltona, contra Ben Hicks.

Szlagier!

Chicago zarumieniło się miljonem afiszów. Na pierwszych kolumnach wszystkich czasopism znalazły się podobizny dwuch bokserów. Tom prawie po dwudziestu latach milczenia wracał na... ring.

Tom, ex-champion Stanów Zjednoczonych, gigant niezwyciężony!

Tom Brook... „znakomity" ojciec biednego Miltona!!

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W dniu walki ani stary nie żegnał się z kaleką, ani tamten nie składał ojcu życzeń.

Tom Brook poszedł na ring, jak na spacer. Zwyczajnie.

A ślepiec już na godzinę przed rozpoczęciem walki usadowił się przy aparacie.

Dziś nie obchodziły go ani koncerty, ani śliczny śpiew jakiejś „gwiazdy" niewidzialnej.

Czekał.

I nagle: — *SWS, mikrofon sprawozdawczy w Garden Hall. Match Tom Brook contra Ben Hicks. Rundy trzy minutowe. Widownia przepełniona, ani jednego wolnego miejsca, obaj zapaśnicy w doskonałej formie. Wygrana 50 tysięcy dolarów* — chrobotał z głośnika wyraźny głos sprawozdawcy.

Chwila ciszy i... mocny, dolegliwy głos dzwonka.

— *Pierwsza runda zaczęta* — informował Stany Zjednoczone sprawozdawca.

Słychać było tylko szelest pantofli walczących, czasami głośniejsze tupnięcie lub mocniejsze uderzenie. Ale Milton wydział wszystko. Jakby tam był. Jakby sam uwijał się po deskach ringu.

Dłonie zamarły na manetkach aparatu.

Brzęk dzwonka i zaraz wślad głos sprawozdawcy.

— *Jednominutowa przerwa.*

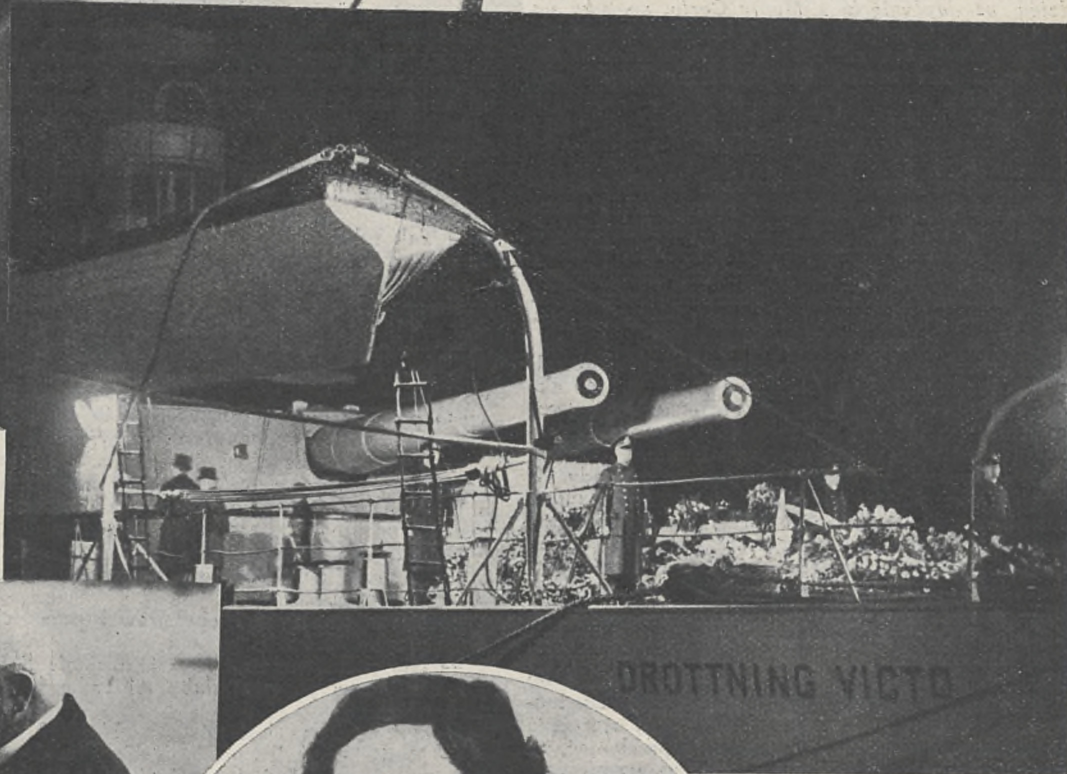
Z głośnika delikatnie szeleściał szmer ręczników, ocierających spotniałe torsy, plaskanie masażystów, miarowe kroki arbitra.

Znów początek rundy. Ktoś atakuje z pasją, z wściekłością. To napewno nie ojciec, to Ben. Głośny trzask. Dłonie na manetkach stężały jeszcze bardziej.

(Dalszy ciąg na str. 16-ej.)



P. Raymonde Latour wybrała się aeroplanem do Ameryki Południowej z serją odczytów propagandowych o kulturze francuskiej.



Pan Prezydent Hindenburg złożył osobiście kondolencje ambasadorowi szwedzkiemu w Berlinie z powodu zgonu królowej.



Szwedzki krążownik, wiozący na pokładzie swym zwłoki zmarłej królowej w chwili odpłynięcia z portu w Świnoujściu.



Miss Ruth Mc. Cormick kandyduje do senatu amerykańskiego ze stanu Illinois.



Cambridge zwycięzcą Oksfordu.



Nowy rząd afgański.

PHILIPS OPPENHEIM (15)

BURZA

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Dzięki pomocy Granta Slattery, Stany Zjednoczone zostają zaproszone do udziału w pracach Kongresu. Grant udaje się własnym yachtem w podróż do Ameryki. Na drugi dzień, po odpłynięciu z Monte Carlo, spotyka na pokładzie księżnę von Dirs, byłą swą narzeczoną, która, potajemnie, chciała uciec przed mężem do Ameryki. Rad nierad Grant wiezie księżnę do New Yorku.

ROZDZIAŁ XXVII.

Korneljusz Blunn nie przesadził absolutnie, zapewniając Granta o kolosalnej propagandzie i zorganizowanej akcji, przez niego przedsięwziętej. Nie było prawie czasopisma i dziennika, któreby nie propagowało idei amerykańskiej samodzielności i odosobnienia Stanów. Steneham, który udał się na wypoczynek, został przez Granta telegraficznie zawezwany do New Yorku.

W zacisznym gabinecie hotelowym dyskutowali nad aktualną sytuacją. Steneham tłumaczył, że akcja niemiecka w Ameryce trwa już od lat dwudziestu jako utajona propaganda i że wystarczyło teraz naciśnięcia sprężyny przez Blunna, aby całkowicie puścić w ruch maszynę propagandy. Z drugiej strony istnieje w Ameryce garstka ludzi, rozumiejących konieczność przyłączenia się Stanów do traktatu, ale ta garsteczka nie jest zorganizowana i nie posiada dostatecznych sił, aby przeciwstawić się większości.

— Korneljusz Blunn — kończył Steneham — dąży do ostatecznego przekonania naszych obywateli, że Wielka Brytanja zazdrości Ameryce jej supremacji ekonomicznej ,że chce ją wciągnąć do paktu, który będzie pułapką dla Stanów Zjednoczonych. Grant godził się z poglądami starszego przyjaciela, starał go się jednakże przekonać, że nie należy za wcześnie rezygnować ze zwycięstwa.

— Przybyliśmy może na start późno, ale należy wziąć pod uwagę okoliczność, że głosowanie odbędzie się dopiero za trzy miesiące, a przez ten czas da się jeszcze niejedno uczynić. Rozmawiałem dziś telefonicznie z Waszyngtonem. Okazuje się, że prezydent i jego najbliższe otoczenie jest po naszej stronie, a to przecież już wiele znaczy. Musimy tylko zabrać się energicznie do rzeczy. Otworzę jutro we wszystkich bankach konto dla pana, Dan. Niech pan zaangażuje najlepsze siły i zabierze się z zapałem do kontr-propagandy. Mamy za sobą logikę wydarzeń, prawdę i uczciwość. Musimy zwyciężyć!

Poczynili jeszcze szereg planów i Grantowi udało się natchnąć entuzjazmem przyjaciela. Wreszcie opuścili gabinet hotelowy i udali się w kierunku klubu. Po drodze zauważyli szereg plakatów anty-angielskich z karykaturą lorda Yeovila.

— Blunn działa na ostro — zauważył Steneham. Zatrzymali się na skutek jakiegoś pochodu. Była to demonstracja skautów, maszerujących czwórkami. Nieśli transparenty z prowokującymi napisami:

— Europa i jej troski dla Europy!

— Ameryka i jej bogactwa dla Ameryki!

— Znam tę organizację — rzekł Steneham — nazywają się oni Narodowymi Skautami Wolnej Ameryki. Dostają zadarmo umundurowanie i flagi i opiekun ich urządza dla nich sześć wycieczek rocznie. Jest nim pan Hans Klein. Jeszcze jeden agitator! — Grant nie dał się zbić z tropu i ponownie zwierzał przyjacielowi metody postępowania.

W ten sposób zaszli na Broadway, jak zwykle ożywiony, przepełniony wesołym tłumem i bajecznie oświetlony. Przed jednym z najwytworniejszych lokali spotkali jakąś zapatrzoną w siebie parę. Grant zatrzymał się i odsunął Stenehama na stronę.

— Czy to ktoś znajomy? — zapytał redaktor.

Grant kiwnął głową.

— Tak jest. Poznałem tego pana w Monte Carlo. Jest sekretarzem poselstwa japońskiego. Nazywa się Itash, a jego towarzyszka to tancerka kawiarniana. Dziwny zbieg okoliczności.

— Czemu?

— Widzi pan, był zakochany w innej tancerce i gdy miał z nią zerwać, ta przez zazdrość chciała mi zwierzyć jakieś jego bardzo poważne tajemnice. Nie wiem, jak je zdobyła, lecz zapewniała mnie, że może mi wiele powiedzieć. Robiła wrażenie, że mówi prawdę. Gdybym ją miał teraz pod ręką i przekonał ją o rzeczywistej zdradzie przyjaciela, niewątpliwie wszystkoby powiedziała.

Steneham wzruszył niedbale ramionami.

— Nie mogę sobie wyobrazić, aby jakikolwiek dyplomata japoński mógł popełnić niedyskrecję służbową, nawet najmłodszy.

— Ani ja — odpowiedział Grant. — Jednakże natknąłem się tu na jakąś tajemnicę. Dziewczyna zwierzyła mi kilka rzeczy absolutnie prawdopodobnych. Przestała po tym mówić, gdyż Itash powrócił do niej.

— Gdybym był na pana miejscu, Grant, zatelegrafowałbym po nią niezwłocznie. Nie jest ona w każdym razie pierwszą kobietą, która mogłaby zgubić lub uratować cały naród. — Grant uśmiechnął się i rozstał się z przyjacielem.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Pewnego dnia, po upływie jakiegoś czasu, spotkał Grant na Fifth Avenue Korneljusza Blunna w pięknym, jasno-szarym garniturze, pięknie zawiązanym białym krawacie i białych getrach. Robił wrażenie człowieka zadowolonego ze siebie.

— Cóż, przyjacielu? — rzekł, zatrzymując Granta.

— Sądzę, że pan naprawdę zwycięża.

— To nie ulega wątpliwości. Ale jak się pan miewa?

— Tak sobie. Pana organizacja działa mi nieco na nerwy.

— Prawdę powiedziawszy, to i pan psuje mi trochę szyki. Niektórzy z moich współdziałaczy dali mi już do zrozumienia, że New York nie jest najzdrowszem dla pana miejscem pobytu.

— Znów ten sam refren. Panie Blunn, jesteśmy współzawodnikami, uważam pana za najzagorzalszego przeciwnika pokoju, czemuż to ja nie miałbym raczej zgładzić pana ze świata?

— Zbyt ryzykowne, młody przyjacielu. Nie jest pan w kontakcie z organizacjami kryminalnemi, a próba na własną rękę byłaby szaleństwem. Niema pan pozatem dostatecznych dowodów dla udowodnienia zabójstwa.

— A może poszlaki moje i dowody idą dalej, niż pan przypuszcza?

Blunn zamyślił się i obserwował przez chwilę tłum przechodniów.

— Nie chciałbym myśleć o tem, panie Slattery, gdyż wówczas pozostawałaby mi tylko jedna alternatywa.

— Jakimże pan jest mistrzem bluffu!?

— Myli się pan. To nie bluff. Traktowałem pana zawsze ze specjalną sympatją i dlatego mówiłem zawsze z panem o wszystkiem, co mogłoby wyjść panu na dobre. Powiem panu jeszcze coś, o czem pan zapewne nie wie jeszcze, gdyż i ja dowiedziałem się o tem dopiero przed kilku godzinami. Otóż za pięć tygodni zbierze się kongres Traktatu rozbrojeń, a dopiero potem przyjdzie na porządek dzienny sprawa, w której obaj jesteśmy zainteresowani.

— Czy kongres zbierze się w Waszyngtonie?

— Tak jest.

— A czy i lord Yeovil będzie obecny?

— Oczywiście. Będzie go pan mógł osobiście poinformować o swych poczynaniach.

— Pan jest rzeczywiście nader interesujący. Można się zawsze czegoś ciekawego od pana dowiedzieć.

— Musimy się rzeczywiście częściej spotykać. A tymczasem żegnam pana.

Skłonili się sobie grzecznie. Rozdzielił ich tłum przechodniów.

Granta opanowała jedna, jedyna myśl, której nie mógł się pozbyć. Za miesiąc najdalej przybędzie do Ameryki lord Yeovil z Zuzanną. Pisał do niej dwa razy, lecz nie otrzymał odpowiedzi. W tej chwili dopędził jeszcze Blunna.

— Czy mogę pana jeszcze o coś zapytać? — poprosił.

— Zawsze, oczywiście. O cóż chodzi, przyjacielu?

— Wspomniał pan o jakichś plotkach, dotyczących księżny von Dirs, która jakoby miała opuścić Monaco na moim jachcie. Czy ta plotka była popularna?

— Obiegła całą Rivierę. Nie było nikogo, ktoby w nią nie wierzył.

— Dziękuję panu — wyszeptał Grant.

Nowiny Blunna wprowadziły Granta w dziwny stan zamętu. Czy mógł spodziewać się czegoś dobrego przez przyjazd Zuzanny? Prawdopodobnie wyrzuciła go już zupełnie z głowy i serca. Bo czegoż spodziewać się można od jakiegoś awanturnika, pozera w życiu i miłości?

Postanowił bezzwłocznie wrócić do hotelu i napisać decydujący list. Jakież było jego zdziwienie, gdy przekroczył próg saloniku? Zastał tam, pochyloną nad stosem gazet i zaciągającą się papierosem młodą dziewczynę, która zaintrygowała go swego czasu w Monte-Carlo.

— Mademoiselle Cléo! — wykrzyknął w zdumieniu.

— Monsieur, czy zawsze trzeba tak długo czekać na pana?

— Nie tak długo, jak na pani obietnice.

(D. c. n.).









ST. PORAJ.

Co słychać na świecie

Na czoło zagadnień międzynarodowych — z naszego, rzecz prosta, punktu widzenia — wysuwa się sprawa stosunków polsko - niemieckich, ważna dla nas niewątpliwie, ale i nie pozbawiona dużego wpływu na układ stosunków europejskich wogóle, na układ przedewszystkiem współpracy gospodarczej całego naszego kontynentu, który z całą dobrą wolą dąży do zabliźnienia ran, odniesionych w czasie kataklizmu wojennego.

W zrozumieniu zdrowej zasady gospodarczej, iż jaknajszersza wymiana dóbr ekonomicznych, możliwie bez utrudnień celnych, ułatwiać będzie zbyt produkcji tam, gdzie konstatujemy jej nadmiar, zaspakajając jednocześnie zapotrzebowania rynków, jakich źródła wytwórczości miejscowej nie pokrywają — państwa, współpracujące z Ligą Narodów, zgodnie przystąpiły do obrad genewskich, których ostatecznem założeniem być miało zupełne zniesienie granic celnych. Cel ten, oczywista odległy bardzo, osiągany być miał zwolna, etapami i właśnie pierwszym z takich, prowadzących doń etapów jest konwencja genewska, podpisana przez rząd nasz w d. 12 b. m., a ustalająca zasadę, iż stawki opłat celnych, obowiązujące dotychczas, nie będą podnoszone. W d. 1 listopada odbyć się ma konferencja państw, jakich podpisy widnieją pod konwencją, celem ustalenia form i momentu jej wejścia w życie.

Niezależnie od tego, ale również w zrozumieniu tych samych zdrowych zasad gospodarczych toczyły się już od szeregu lat rokowania polsko-niemieckie, których celem być miało zlikwidowanie tak zwanej wojny celnej, jaką wytoczyła nam Rzesza. Rokowania te toczyły się ze zmiennemi coraz widokami na osiągnięcie ich ostatecznego wyniku: na widnokręgu politycznym pojawiały się to groźne chmury, to znów horyzont zdawał się rozjaśniać, aż wreszcie po długim bardzo i mozolnym przebiegu pertraktacyj osiągnięto dwa akty: umowę likwidacyjną i traktat handlowy, przyznający nam skromne wprawdzie ale, zdawałoby się, pewne stawki naszego eksportu z tych dziedzin gospodarczych, jakie wytwórczość nasza zasila w najwyższej mierze. Są to, jak wiemy, płody rolne i węgiel kamienny.

Zaledwie jednak porozumienia powyższe zostały osiągnięte, zaledwie podpisano w Berlinie traktat handlowy z Polską i umowę likwidacyjną, zaledwie przedstawiciel Rzeszy położył podpis swój pod konwencją genewską, gdy efekt, jakiby powyższe akty międzynarodowe spowodować mogły w stosunkach polsko-niemieckich, przekreślony został przez Rzeszę od jednego zamachu. Rząd socjalistyczny Niemiec ustąpił niezwłocznie po ratyfikacji planu Younga, miejsce jego zajął gabinet Brüninga, utrzymujący się dzięki szczególnemu poparciu frakcji niemiecko-narodowych, poczem gabinet ten w błyskawicznem tempie przeprowadził w parlamencie Rzeszy podwyżkę ceł właśnie na płody rolne, podwyżkę — podkreślmy tu — równającą się dla nas zupełnemu przekreśleniu podpisanego z nami dopiero co traktatu. Formalnie biorąc wobec Genewy Berlin jest w porządku: konwencja, zaledwie podpisana, jeszcze nie weszła w życie i nie krępuje w niczem państwa niemieckiego. Chodzi przecież nie o literę, ale o ducha tej konwencji, której założeniem była stabilizacja, usztywnienie ceł dotychczasowych, a nie tych, jakiebyśmy podwyższali z ową błyskawiczną szybkością — przed terminem wejścia w życie konwencji. Formalnie biorąc, wobec nas w porządku są również Niemcy, boć oba akty międzynarodowe, jakie wspólnie przez nas i przez Berlin zostały podpisane, nie są jeszcze ratyfikowane przez obie strony, — znów jednak jest to tylko strona formalna, opierająca się o literę prawa.

W uwagach naszych nie potrzebujemy ograniczać się do samej tylko strony formalnej rzeczy. Luźny artykuł dziennikarski upoważnia nas do wnikania w głębsze intencje strony przeciwnej, do odgadywania istotnych motywów, jakie stroną tą rządzą. Zdaje się też, iż nie będzie pozbawionym podstaw domysł, że mamy w danym wypadku do czynienia z grą podwójną, któraby dwa różne objektywy miała na uwadze.

Jednym z objektywów tych byłby efekt zewnętrzny, jakiby osiągnąć należało w oczach Zachodu. Niemcy szczerze dążą do pacyfikacji stosunków europejskich. Przyjmując plan Younga, wraz z całym kompleksem umów o charakterze likwidacyjnym, podpisały też umowę likwidacyjną z Polską, a nadto zgodziły się na traktat handlowy, zamykający czteroletnią bodaj wojnę celną. W takiej szacie reprezentować się ma Germanja w opinji politycznej Londynu, Paryża czy Nowego Jorku.

Jednocześnie przecież za cenę planu Younga spadają ostatnie okowy okupacji nad Renem. Wyzwalają się wszystkie siły potężnego narodu, które skierować będzie można ku wschodnim granicom, z natury rzeczy nie tak pilnie obserwowanym przez opinję wszechpotężnych sygnatarjuszy traktatu wersalskiego. Nikt się z owych mocarzy nazbyt zapewne troszczyć się nie będzie o to, co się tam dzieje na wschodnich rubieżach, a gdyby zatroszczył się nawet, pozostaje zawsze możność zrzucenia winy na... przysłowiowego królika. My przecież — brzmieć może zawsze odpowiedź — podpisaliśmy umowę likwidacyjną i traktat handlowy, a już... królika wina, że pakty te nie weszły w życie.

W tem świetle staje się cała gra aż nazbyt zrozumiałą i przejrzystą. „Na zachodnim froncie bez zmian". Po dawnemu toczyć się będzie ta sama walka, jaką wypowiedziano nam niezwłocznie, gdy zwycięstwo nasze z r. 1920 stwierdziło, iż „Saisonss Staat" polski nie rozsypie się w gruzy za lada podmuchem. Niezwłocznie potem przecież, gdy polski organizm państwowy krzepł i rozwijał się z każdym rokiem, gdy przestał budzić śmiech i drwinę nad brzegami Szprewy, wyłoniła się tam koncepcja wojny gospodarczej, któraby w ciągu roku — jak sądzono — zmusiła nas do ugięcia kolan w jakiejś nowej Canossie.

Przypuszczenia te przecież były zawodne, jak okazało się znowu. Zkolei więc jęto się podminowywania — słowem narazie i tylko w sposób pokojowy, ze względów jedynie gospodarczych — naszej granicy zachodniej, „wrzynającej się klinem w żywe ciało Rzeszy". Na ławie szkolnej już, od najwcześniejszych lat uczy się przecież każde dziecko niemieckie, że ziemie nad Odrą i Wartą należały przed wiekami do szczepów germańskich, skąd wyparły je w czasie wędrówek ludów plemiona słowiańskie. Każda więc piędź ziemi od Elby na wschód, jaką żywioł niemiecki zdobył na Obotrytach czy Lutykach, Serbach łużyckich, Pomorzanach czy Ślężanach — t opiędź ziemi odzyskanej, odebranej odwiecznemu wrogowi, który ją sobie nieprawnie przywłaszczył.

Zachód do tych względów „historycznych" nie przywiązuje żadnej wagi. Nie większą też grają tam rolę względy narodowe. Na użytek więc trzeźwo-myślących przedstawicieli Zachodu zorganizowana została — kosztem miljonów — propaganda, oparta o względy ekonomiczne i geopolityczne. „Prowincja, odcięta od całości organizmu państwowego i narodowego, skazana na śmierć gospodarczą" — to jedno hasło, a drugie, iż „niemożliwe granice na wschodzie wraz ze stosunkami gospodarczemi, niemożliwemi wskutek tych właśnie granic, podkopują w zarodku rekonstrukcję gospodarza tej części Europy". Tezom tym poświęcono i poświęca się ciągle coraz to nowe prace, gospodarcze i beletrystyczne, naukowe i popularne, subwencjonowane z nieprzebraną nigdy hojnością, a mające dowieść, że „korytarz jest tworem geograficznym nie do zniesienia".

Nie poprzestając przecież na tej propagandzie, która doprowadzićby powinna w założeniu jej organizatorów do jakiegoś olbrzymiego procesu rewizyjnego, na wzór tych może procesów, w których Zakon krzyżowy wykazywał się sfałszowanemi nadaniami królewskimi, — nie poprzestając na tej propagandzie, powtarzamy, toczy się stała akcja osiedleńcza na wschodnich rubieżach Rzeszy. Od zakończenia wojny w owej „Ostmark Westpreussen und Posen", o symbolicznej nazwie, podkreślającej odwetowe tendencje, gdzie znaczny odsetek ludności stanowi odwieczny tam żywioł polski, — osadzono 26 tysięcy nowych kolonistów-Niemców; w roku ubiegłym liczba ta zwiększyła się o nowych 5 tysięcy, — w roku bieżącym zaś zwiększyć się ma znów o 8 tysięcy. Ale wysiłek ten, pochłaniający około 100 miljonów marek rocznie na „ratowanie zagrożonej niemczyzny" wydaje się wciąż jeszcze niedostatecznym czynnikom miarodajnym. Znów więc, ratując „zagrożony żywioł niemiecki", postanowiono rzucić miljard dwieście miljonów marek na poparcie rolnictwa niemieckiego w powiatach, granicznych z Polską, a jednocześnie, tegoż samego dnia uchwalono podwyżki celne, sprowadzające traktat handlowy do zera.

Wojna, jaką nam wytoczono, nie zakończyła się więc bynajmniej, jakeśmy mogli byli łudzić się przez krótki moment po podpisaniu traktatu. Raczej może przechodzi w stadjum ostrzejszej, niż dotąd ofensywy, skoro ewakuacja Nadrenji rozwiązuje ręce na zachodzie i pozwala ostrze energji zwrócić ku zniennawidzonemu nadewszystko korytarzowi .Ale też my zkolei powinniśmy sobie to uświadomić jaknajdokładniej, rozumiejąc, że w walce tej pokonanymi być nie możemy.

„Naród, nie mający dostępu do morza, jest jak ptak bez skrzydeł, jak jeleń na szczudłach" — powiedział jeden z polityków niemieckich. Cytatę tę winniśmy odrzucić zawsze tym, którzyby sięgali po nasz korytarz pomorski, po nasz jedyny dostęp do morza!






WIOSNA NA ULICY

Nieprawdaż, proszę pań, że wiosna staje się taką prawdziwą,, stuprocentową wiosną, dopiero z chwilą, w której możemy włożyć nowy kostjum wiosenny i wszystkie akcesorja z nim związane. Bo jeżeli krawiec opóźnia się z wydaniem kostjumu, czy też mąż (wzgl. redakcja) z wyasygnowaniem kwoty, niezbędnej na wykupienie wiosennej kreacji, to... doprawdy, przedwczesne słoneczne promienie wyglądają na premedytowaną złośliwość. Ma się wrażenie, że nasza serdeczna przyjaciółka, specjalnie obstalowała niedyskretne słońce wiosenne, aby z całą bezwzględnością ujawniło wszystkie braki okrycia, które w szarem oświetleniu zimowem uchodziło jeszcze od biedy.

Czy nie dałoby się zużytkować kostjum z zeszłej wiosny? Hm, ostatecznie. Oczywiście, o ile się da podłużyć o jakieś pięć do dziesięciu centymetrów. No i oczywiście należy go posłać do krawca, względnie do chemicznej pralni na kurację odmładzającą. Marynarka ujdzie. Lepiejby, oczywiście, było, żeby marynarka była więcej wcięta w pasie. Przód mógłby być lekko zaokrąglony. Rozstawienie guzików wyższe. Dobrze skrojony zeszłoroczny tailleur, noszony z jasną bluzką, oczywiście wsuniętą pod pasek, wązkim szalikiem, z trójbarwnej żorżety i zalotną butonierką w klapie — może jeszcze śmiało figurować na najsłoneczniejszej ulicy. Torba ma harmonizować z obuwiem. Kapelusz z butonierką. Modne są słomy i filce, podbite płótnem w groszki, lub jasnem, jednolitem. Butonierkę robi się z takiegoż płócienka w groszki, lub gładkiego płócienka i filcu. Wygląda to bardzo wiosennie i ładnie; a jak się opatrzy, można zmienić butonierkę i podbicie kapelusza.

Lisa proszę na razie nie nosić. Paryż orzekł, że lisy „robią ciężko" i wyglądają wybitnie zeszłosezonowo. Niech więc sobie lisiurka, odpowiednio zaopatrzona przeciwko molom, powisi w szafie, zanim Pani Moda znów raczy na nią mrugnąć okiem łaskawem. A my postarajmy się o wązki szalik z miękkiego krótkowłosego futerka, dający się wiązać fantazyjnie. Pończoszki na ulicę będziemy nosiły dość ciemne, stalowe, o ile kostjum jest szary, granatowy lub czarny; w tonach złocisto brunatnych — do kostjumów beżowo-bronzowych (jak większość tweed'ów).

Modne, zawsze modne, modniejsze niż kiedykolwiek, tweed'y, zdają się uginać pod brzemieniem swej nadmiernej popularności. Jak do niedawna wszystko było „kasha", tak teraz wszystko jest „tweed". Jesienią miałyśmy oryginalne angielskie tweed'y, przepiękne i przekosztowne, oraz ustępujące im cokolwiek w cenie reprodukcje ich — bielskie. Obecnie mamy zalew tweed'ów po dziesięć i dwanaście złotych za metr podwójnej szerokości.

Różnicę pomiędzy tweed'em a tweed'em poznaje się dopiero w robocie, a zwłaszcza w noszeniu. Bądź co bądź, olbrzymia ilość tandetnych imitacji nie wychodzi na dobre szlachetnym oryginałom i należy się obawiać zdyskredytowania, jeżeli nie samej tkaniny, to jej nazwy.

Ach, te wy! Oglądałam ostatnio w jednym ze sklepów prześliczną nowość: cieniutką wełnę, gęsto nakrapianą drobnym, białym, atłaskowym ...kiem.

— Jak się to nazywa?

— Wcale się nie nazywa — odparł ponuro właściciel sklepu. — Jakby się tylko nazywało, toby za tydzień wszystkie sklepy na Nalewkach ochrzciły podobnie swoje towary z przed dwóch lat i wmawiałyby łatwowiernej klijenteli, że to to samo.

Biorąc rzecz handlowo, kupiec ten miał zapewne rację, ale w tych warunkach praca referentki mody staje się szczególnie utrudniona. Pozostaje jedynie stwierdzić, że owe cienkie wełny i mawe jedwabie, drobno i jasno zakrapiane, są obecnie najpoważniejszą konkurencją tweed'ów. Robi się z nich prześliczne kostiumy tailleur i płaszczyki spacerowe do sukien z jedwabiu w tym samym kolorze, również zakrapianego, lub gładkiego. Często kolor sukni tworzy szczególny kontrast z barwą okrycia. Pożądana jest podszewka w kolorze sukni. Niektóre lekkie płaszczyki, z gładkiej żorżety wełnianej, ozdobione są szerokiemi mereżkami, przez które widać wzorzysty jedwab sukni.

Obok klasycznego kostjumu tailleur, oraz kompletu, składającego się z długiego palta i sukni, szczególnym faworytem mody wiosennej jest wielce praktyczny typ sukni popołudniowej, mającej zarazem służyć jako kostjum spacerowy. Jest to suknia z bolerem. Spódniczka, ułożona w kryte fałdy, lub dyskretnie kloszowa, zachodzi nieraz bardzo wysoko na bluzkę, do której jest przypięta, a czasem przyszyta. Króciutkie, otwarte z przodu bolero, miewa rękawy krótsze, niż bluzka : bardzo lekko skloszowane. Niewielka bufka, jaką tworzy, wszyty w mankiet, rękaw bluzki, stanowi ład

(Dokończenie na str. 14-tej)



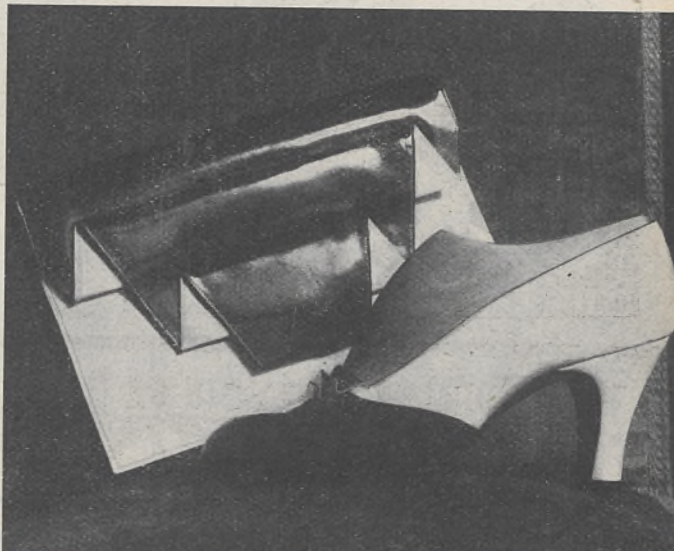




ne zakończenie przy dole. Dół sukni musi być równy i sięgać do pół łydki. Wszelka asymetrja w cyrklu wykluczona.

Praktyczne zalety modeli tego typu są niezliczone. Można je nosić w mieszkaniu z bolerem, lub bez, zależnie od temperatury, która i na wiosnę w warszawskich apartamentach bywa wielce kapryśna i zmienna. Można do takiego kompletu mieć kilka lekkich, jedwabnych bluzek do prania. Będzie zawsze wyglądał świeżo i coraz inaczej, zależnie od tego, czy bluzka będzie jasna czy ciemna, czy będzie miała żabot, czy angielski kołnierzyk do krawata.

(Dokończenie na str, 14-ej)



WIOSNA NA ULICY

(Dokończenie ze str. 13-ej)

Materjałami, wskazanymi na tego rodzaju deux pieces'y, są z jedwabi: crêpe satin (na obie strony) crêpe mogador i bardzo piękny „banjo" (wyższy gatunek meteoru). Gatunki wełen cienkie, lecz niezbyt lekkie, miękkie, układające się w głębokie, piękne fałdy o matowym połysku. Przybranie takich sukien stanowią wymyślne stebnówki i plisy. Guziki muszą być doskonale dobrane do koloru tkaniny.

Desenie kwiatowe, tak bardzo modne w zakresie sukien wieczorowych, przygotowanych na zielony karnawał, czekają na majowe słońce, aby w całej swej krasie zakwitnąć na ulicy. Ujrzymy je w kostownych crêpes satins, meteorach i romain'ach oraz w bardzo wdzięcznych krajowych woalach, markizetach i silkach. Letnie sukienki bez rękawów na ulicy będą noszone z krótkiemi żakiecikami z tego samego materjału w kwiaty, lub też gładkiego, dla odmiany. Modne będą transformacje: ten sam żakiecik, wykończony na obie strony da się nosić i tak, i tak.

A duży, cienisty, a przecie lekki kapelusz z fantazyjnej słomy, podpięty jakby od niechcenia, pękiem polnych kwiatów, dopełni malowniczej, wybitnie młodej i bardzo wiosennej całości. Bo kiedy będziemy miały kompletny rynsztunek wiosenny, będziemy już naprawdę miały wiosnę. Na zewnątrz i wewnątrz.

Well.

W dniu 1 czerwca r. b., jednocześnie z obchodem 25-lecia szkoły polskiej, odbędzie się ZJAZD B. WYCHOWAŃCÓW GIMN. GEN. CHRZANOWSKIEGO, którzy uczęszczali do szkoły l latach 1905 — 1915.

Komitet organizacyjny zjazdu uprasza o nadsyłanie zgłoszeń na ręce kol. *Bronisłaaw Mańkowskiego, Zgoda 4 m. 18, w Warszawie (tel. 284-76).*

Higjena skóry głowy.

Ze wszystkich części ciała ludzkiego wydziela najobficiej skóra głowy oleisty tłuszcz. W rzadkich tylko wypadkach napotyka się suchą skórę głowy. Oleisty tłuszcz jełczeje łatwo w temperaturze ciała, a do szybkiego jełczenia przyczyniają się włosy i nakrycie głowy. Proces jełczenia polega na tworzeniu się kwasów tłuszczowych, które warunkują stan zapalny skóry w postaci łupieżu, wyprysków, swędzenia i przenikliwej woni, którą wyczuwa się nawet z odległości. Łatwo zrozumieć, jak szkodliwie stan taki działa na korzonki włosów, jak niszcząco wpływać musi namaszczanie włosów tłuszczami. Zapobiec można wzmiankowanym przypadłościom, a zarazem zupełnie *odwonić* skórę i włosy — *zobojętnieniem* kwasów tłuszczowych. Ani mydłem, ani żółtkiem nie osiągnie się celu, jedynie tylko częstem myciem *Shampoonem Dra Lustra,* który dostosowany jest ściśle do wydzielniczych funkcji skóry głowy oraz do koloru włosów. Uwagi powyższe powinni przyswoić sobie też i — mężczyźni, zwłaszcza przy sporcie.



Repertuar teatrów

WIELKI

dn. 24 b. m. „Ijola"
dn. 25 b. m. „Opowieści Hoffmana"
dn. 26 b. m. „Parsifal"
dn. 27 b. m.: popoł. „Pan Twardowski", wiecz. „Borys Godunow" z gośc. występem Teodora Szalapina.
dn. 28 b. m. — teatr nieczynny.

NARODOWY
codziennie „Dom serc złamanych"
LETNI
codziennie „Maman do wzięcia"
NOWY
codziennie „Dzień szalony" i „Dardamelle"
POLSKI
codziennie „Volpone"
MAŁY
codziennie „Piorun z jasnego nieba"

ATENEUM
codziennie „Trójka hultajska"
QUI PRO QUO
codziennie rewja „Maj za pasem"
MORSKIE OKO
codziennie rewja „Uśmiech Warszawy"
WESOŁY WIECZÓR
codziennie rewja „Podróż naokoło świata"
CYRK
codziennie światowe atrakcje z tresurą lwów.



Zioła lecznicze Cholekinaza leczą choroby wątroby, kamienie żółciowe, złą przemianę materji. Broszura Dr. T. Niemojewskiego przy każdem pudełku. Skład główny: Warszawa, Nowy Świat 5.



TROCHĘ KONTRASTÓW

(Dokończenie ze str. 7-ej)

Wchodzimy do kaplicy. Przerobiona z dawnej komnaty św. Wincentego a Paulo. Tutaj umarł miłośnik ludzi ubogich. Z ciemnych murów wieje duch ascezy.

— Oto ołtarzyk Świętego — wskazuje nam siostra.

Z ciemnej wnęki miniaturowej kapliczki, mała, drewniana Madonna w niebieskiej sukience wyciąga ręce w głąb tego domu smutku. Do niej modlił się Wielki Miłośnik o pomoc dla nieszczęśliwych. Wychodzimy stąd w milczeniu. Zdążamy ku wyjściu. Podwórzec więzienny tonie już w mroku wieczornym. Wśród przenikliwej ciszy tego świata murów i krat słychać z oddali szum rozpędzonego miasta — nieustanny szum życia...

Oto znowu brama więzienna. — Wychodzimy na światło, pozostawiając za sobą noc i smutek.

— Czy nie masz dosyć na dzisiaj? — pyta Żaklina puszczając w ruch motor.

— Ani trochę, najdroższa... Widzę jednak, że szofer jest zmęczony!

Ach! Powiedzieć Żaklinie, że jest zmęczona, to znaczy pobudzić ją do największych wysiłków i szaleństw. Nic nie odpowiadając, prowadzi, maszynę szybko i uważnie. Daję się unosić pędowi. Zmęczona i odurzona jazdą nie staram się już rozróżniać ulic, wiedzieć gdzie jesteśmy.

Co chwila przecinamy to ciemne, wąskie uliczki, to wpadamy w kąpiel kolorowego światła reklam.

Paryż wyległ na ulicę... Wesoły, gwarny tłum zalega kawiarnie, oblepia zewnętrzne werendy, zatapia oczy we wspaniałościach gorejących wystaw. Twarze młode i stare, świeże i zmięte, rozognione i zastygłe. — Twarze wyczekujące — żerujące — różnobarwne, — spędzone z czterech stron świata. Skłębienie ras i narzeczy. Miesza się przepych z szarością, nikną różnice klas, narodowości... Wieża Babel.

Dziesiątki, — setki aut jak hufce olbrzymich żuków o błyszczących pokrywach suną powoli z głuchem warczeniem motorów. Na przecięciu większych arterji. — S t o p Zator nie do przebycia. Wtedy gardziele maszyn buchają niesfornym chórem niecierpliwych nawoływań... Głosy grube i cienkie, chrapliwe i czyste, butne i żałosne zlewają się w niesamowity wybuch złości ulicy, którą coś powstrzymało w pędzie.

Jeden ruch pałeczki policjanta wyzwala rozgniewanego potwora. Suniemy dalej i dalej w ten niespokojny wieczór Paryża o czerwonych oczach Metro i żółtych gardzielach kawiarni, brnąc przez kalejdoskop ludzi i świateł, buchających krwawą łuną ku niebu.

Jedziemy chwilę swobodnie bulwarami drobnego handlu, poczem wpadamy w matnię krętych, wąskich uliczek, gdzie prowadzenie maszyny wydaje się sztuką zgoła osobliwą. Ludzie chodzą tu niefrasobliwie, wolno snując się koło małych sklepików i kawiarenek, podłażąc niemal pod koła samochodu mimo nieustannych wrzasków trąbki.

Widać tu coraz więcej beretów studenckich, szerokich kapeluszy, dziwacznych postaci... Głośne rozmowy, śpiewy, wybuchy śmiechu. Zduszone chichoty. Nagłe krzyki.

— Ależ to Montmartre!

Wspinamy się wciąż w górę stromemi krętemi linjami. Chwilami boję się, że samochód da kozła. Ale Żaklina dodaje gazu i wyjeżdżamy nagle na płaszczyznę, stając przed białemi murami kościoła Sacre Coeur.

Dziesiątki ludzi zmierzają do świątyni. Tu stale, w dzień i w nocy, odbywa się wystawienie Najświętszego Sakramentu. Wchodzę z tłumem.

Ogarnia mię słodka cisza i mrok, rozjaśniony tylko w paru miejscach złotemi bukietami świec. Skupione koło ołtarzy postacie chylą się w kornej modlitwie. Duch wiary i ekstazy. Ciche westchnienia i szepty gorących uniesień.

— Dosyć już — ciągnie mię za rękę Żaklina.

Wychodzimy z kościoła. Schodzę wolno w dół po białych, wysokich schodach. Staję zachwycona.

Tam w dole, jak droga makata, jak wspaniały klejnot, spoczywa Paryż u stóp Sacre Coeur...

Brylantowa miazga miljarda świateł wybłyskuje z opalowej mgławicy domów i ulic. A w górze czerwona łuna nieba, które zwisa rozpalone i ciężkie, jakby dźwigało w sobie cały ogrom duszy tego dziwnego miasta kontrastów, — *Miasta Światła i... Cieni.*

ZWYCIĘSTWO

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Nic. Nikt nie upadł.

I szła tak runda za rundą. Trzecia, czwarta, piąta. Milton widział wszystko. Każdy krok, każde przesunięcie, uderzenie najmniejsze odparowa. nie. Ktoś w puste, czarne oczodoły wstawił nowe źrenice. Ktoś pozwolił widzieć cały przebieg walki. Ktoś kazał cieszyć się i męczyć.

Ósma runda.

Drobny, matematycznie wprost obliczony krok ojca, przytłumiony łomot, i huk padającego na deski ciała.

To nie ojciec. To nie może być ojciec. To Ben.

Słychać głos sędziego:

— Ben Hicks zknock'outowany raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Po grzbiecie Miltona Brook'a pędzi miljon mrówek. Hurra!!!

— Siedm, osiem, dziewięć...

I nagle dzwonek. Runda skończyła się.

Wzmożony chlupot wody, plaskanie niezmęczonych masażystów. Djabli nadali przerwę.

Gwar!

Dzwonek.

Czyjeś nogi idą pewnie, spokojnie, jak na przechadzkę, czyjeś stąpają ciężko, chybotliwie, pijano...

To Hicks jeszcze nie zupełnie oprzytomniał. Knock'out starego Brook'a to grom, to furja! Milton mimowoli wstrząsnął się. Pamiętał jeszcze ojcowskie treningi.

Znów rozgłośny, dzwoniący plask i... czyjeś ciało wali się na skrzypiące deski ringu.

Serce chwytają twarde, stalowe pazury. Ojciec czy nie...

Liczy sędzia. Długo, długo. Cyfry padają jak nielitościwe krople dżdżu na spalone gorączką wargi.

— Dziesięć!!!

I głos sprawozdawcy:

— *Tom Brook w dziewiątej rundzie pokonał knock'outem Bena Hicks'a, dotychczasowego championa Stanów Zjednoczonych. Hip, hip — hurra, hip, hip, hurra, hurra, hurra, hurra...*

Już teraz nie słychać głosu speakera, wali się z głośnika jakiś obłędny, furjacki wrzask, łomot, burza, siekąca miljonem piorunów.

Już wie ulica. Już drapie się na jedenaste piętro oszałamiający wrzask gazeciarzy.

Już wiedzą całe Stany. Już zdumiała się Europa. Już warczą w szaleńczym pędzie rotacje!

A dłonie ślepca delikatnie, delikatnie błądzą po gładkiej, łabędziej szyi głośnika, tuli się do niego krwawa maska twarzy, a z czarnych oczodołów zsuwają się srebrne perły łez...

PRZEGLĄD FILMOWY



Fragment z „Tango".

PIERWSZY POLSKI NADPROGRAM DŹWIĘKOWY.

Wyświetlany na pokazie prasowym w „Pola Negri Palace" polski nadprogram dźwiękowy, (na całość którego składały się Tango, Piosenka Ludowa i Chór żołnierski), posiada wysoki poziom techniczny i artystyczny. Pod względem synchronizacji zaś nie ustępuje najlepszym dodatkom zagranicznym, wykazując absolutną jednoczesność ruchów grających z wyraźnie mówionemi słowami i śpiewem. Najważniejszym jednak jest tu fakt nakręcania owego nadprogramu według polskiego systemu nagrywania filmów (system R. Biske i F. Vlassak) co umożliwia stałe nagrywanie filmów dźwiękowych bez posiłkowania się patentami obcymi, a co za tem idzie bez opłacania olbrzymich kosztów licencji wytwórniom zagranicznym, jednocześnie więc rozwiązuje zasadniczo, tak ważny, ostatnio, problem dźwiękowych filmów w kraju.

Zed.



Popierajcie L. O. P. P.

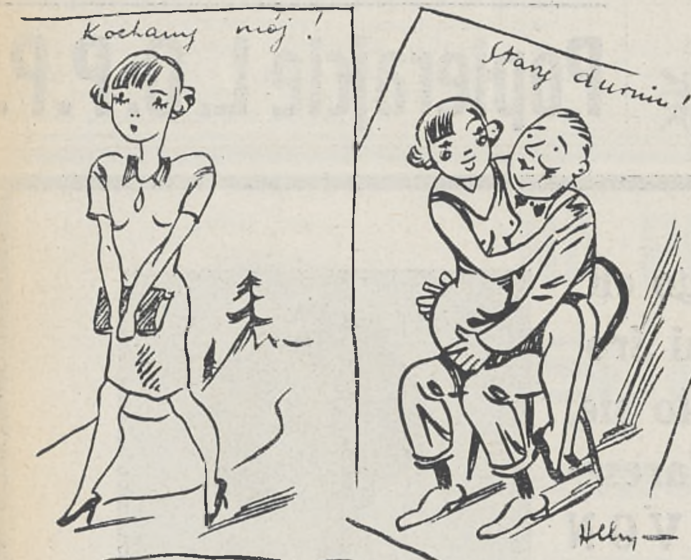


Chciałoby się nieraz ulżyć sercu i kropnąć „Szanownemu Panu", albo „Szanownej Pani" całą prawdę, ale cóż? — nie wypada. Zbytnia szczerość zawsze szkodzi. A czasem, kiedy nas temperament poniesie, kiedy już wyślemy list taki, jaki dogadzał nam w zupełności i przedstawiał sprawę bez obsłonek — wynikają z tego tysiączne komplikacje i szkody. Czyż więc nie lepiej pójść na kompromis? Napisać list jeden, taki, jaki nam „serce dyktuje" i — nie wysłać go wcale, a zato wysłać drugi, w którym wzięliśmy pod uwagę różne „względy", jak grzeczność, delikatność i — interes? Posłuchajcie, drodzy czytelnicy jak się to robi...

I. ŻONA PISZE DO MĘŻA...

Stary durniu!

Gdybyś był choć trochę, choć odrobinę tak interesujący, jak pan Karol, to powiedziałabym ci, (naturalnie, gdybyś nie był mężem), że ten wyjazd do Zakopanego dla uspokojenia wyczerpanych nerwów jest świetnym kawałem i w przyszłym roku powtórzę go napewno. Teraz dopiero jestem sobą! Nikt mnie nie kontroluje, nikt mnie nie więzi w nudnym buduarze, uznając radjo i lekturę za jedyne najodpowiedniejsze dla mnie rozrywki. Wiedz, że co wieczór jestem na dancingu, że co rano jestem na wycieczce — a nigdy sama. Pan Karol nie odstępuje mnie ani na krok, jest zachwycający — i wprost namawia mnie do rozwodu z tobą. Żaden z tych mężczyzn, co mnie otaczają, nie jest łysy, jak ty, ani, jak ty, skąpy. A propos! Muszę sobie sprawić kompletny kostjum góralski. Karol... Pan Karol powiada, że będę w nim wyglądać pysznie, magnifique! I nie myśl, że tak zaraz wracam — wcale mi do ciebie nie tęskno. Przyślij



tylko jak najwięcej pieniędzy, a o moje zdrowie i humor możesz się nie martwić. Dziś Karol ucałował mnie pierwszy raz (przecież nie w rękę). Chcę być uczciwą żoną i zwracam ci twoją własność — całuję cię. Karol ma przyjść za chwilę.

P. S. Całuję cię — chyba ze sto razy....

Lola.

LIST, JAKI MĄŻ PANI LOLI OTRZYMAŁ.

Kochany mój!

Nie możesz sobie wyobrazić, jak mi tęskno bez Ciebie. Tydzień zaledwie minął od mego wyjazdu z Warszawy, a mnie się zdaje, że to już rok cały. Gdyby nie to, że chcę być zdrowa nareszcie, nie siedziałabym tu dłużej, niż miesiąc. Ale ja wiem, że Ty dbasz o mnie i pragniesz, aby Twoja Lola czuła się dobrze — dla Ciebie więc tylko zrobię to, że wrócę do domu za sześć tygodni, kiedy otrzymasz urlop. A tymczasem leczę się, chodzę trochę w góry i wyobraź sobie, utyłam już o 100 gramów! Niemam żadnego towarzystwa i nawet nudzę się trochę, ale chyba przywyknę z czasem. Pensjonat, w którym przebywam, jest ładny i schludny, tylko strasznie drogi. Będziesz chyba musiał przysłać mi pieniędzy, i to dużo, a ja zrobię Ci niespodziankę: ogromnie podobał mi się strój góralek tutejszych i koniecznie chcę sobie taki sprawić; to kosztuje drobnostkę. Jak się czujesz, drogi mój? No, już kończę, bo za chwilę wejdzie doktór. Strasznie go nie lubię, bo jest nudny i pedant. Całuję Cię sto razy i jeszcze jeden raz.

Twoja Lola.

II. CO NAPISAŁ SYN, PRZEBYWAJĄCY NA STUDJACH. DO RODZICÓW NA PROWINCJI?

Kochani starzy!

Ostatecznie moglibyście mnie nie kompromitować wobec mojej gospodyni przysłaniem tego kosza wiktuałów. Nie jest to złe, ale uważam, że gorące zakąski „pod Wiechą" są lepsze. A teraz, skoro zostałem wiceprezesem korporacji, muszę urządzić grubszą wstawę, więc pieniądze są nader pożądane. A przyznam się, że niewiele mnie obchodzi, czy ciocia Melanja zemdleje, gdy dowie się, ile potrzebuję, czy nie. Tysiąc złociszów wystarczy, muszę bowiem jeszcze opłacić czesne i egzaminy, ale nie zaszkodzi, jeśli przyślecie mi dwa. Byłbym głupi, gdybym nie ciągnął z was, ile się da. Zresztą poznałem pewną „cacy" niewiastę i nie mogę wobec niej wyglądać na nędzarza. Albo papa ma dwa folwarki, albo ich nie ma. Jestem pozatem zdrów na ciele i umyśle, czego i wam życzę. Kochane pieniądze przyślijce rodzice.

Alfred.

JAKI LIST OTRZYMALI RODZICE OD SYNA?

Najdroższa maman i papo kochany!

Imaginez-vous, jaki mnie spotkał zaszczyt? Zostałem wiceprezesem korporacji, której prezesem jest Nanek hrabia Ołycki. Nowa funkcja wkłada na mnie wielkie obowiązki i dlatego nie dziwcie się, że piszę tak rzadko. Je n'ai pas beaucoup de temps, jestem zapracowany. Uczę się pilnie, wchodzę w towarzystwo, co wymaga jednak podtrzymywania prestiżu naszej familji i pociąga pewne wydatki za sobą. Nie zwlekajcie więc i przyślijcie choć ze trzy tysiące. Za przysłany prowiant serdecznie dziękuję — starczy mi na długo, ale choć z całą wdzięcznością za troskliwość o mnie całuję rączki kochanej maman, to jednak pozwalam sobie prosić o dokumentowanie pamięci o mnie w inny jakiś sposób, bo tak — c'est de mauvais ton. Mojej matce chrzestnej, księżnej - cioci Melanji — ucałowanie rączek i pozdrowenia. Czuję się dobrze, mimo masy zajęć. Naturalnie na święta przyjeżdżam — konie niech czekają na mnie na stacji w Dubnie. No, życzę wam, drodzy moi, kochani Rodzice, abyście byli dobrej myśli i zdrowi. Całuje was serdecznie, jedyny syn Alfred.

III. CO NAPISAŁ SUBLOKATOR DO BAWIĄCEJ NA WSI GOSPODYNI...

Czcigodna pani Kopytko!

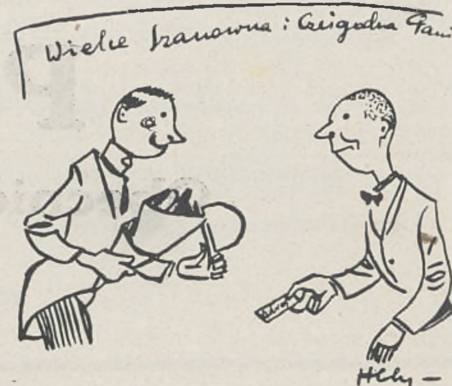
Pozwoli Pani oświadczyć sobie, że: Wynająłem od Pani umeblowany pokój,



ponieważ nie przypuszczałem, że jest Pani taką wiedźmą, tylko „solidną, kulturalną wdową" (jak stało w „Kurjerze Warszawskim"). Omyliłem się i żałuję, ale teraz mam jedyną okazję odegrać się na Pani, co niezwłocznie czynię i czynić będę przez cały czas Pani nieobecności. Przedewszystkiem: nie jestem wcale „przyzwoitym młodym człowiekiem", nie uważam palenia tytoniu za zbrodnię, nie współczuję Pani z powodu Jej reumatyzmu, nie oszczędzam światła i nienawidzę, tak, nienawidzę muzyki. Niech Panią wszystkie siły nieba i piekła trzymają jak najdłużej na wsi. Nie będę przez ten czas słuchał, jak Pani torturuje fortepian, nie będę słuchał, jak wdzięcznie chrapie Pani przez sen za ścianą. Ale — będę palił







i palę dużo, najgorszych tylko cygar, świecę wszystkie lampy przez całą dobę, a dziś rano odkręciłem kran od zlewu i wyszedłem, zamknąwszy drzwi. Mieszkańcy pierwszego piętra, przez pół dnia zalewani zgóry wodą, będą wrogami Pani na całe życie. A nakoniec w przeddzień Pani powrotu, pożyczę psa od dozorcy domu i pozwolę mu całą noc spać na Pani łóżku. A że potem Pani spać tam nie będzie mogła, to nie będzie moja wina: pchły są bardzo pospolite na wsi. Czy Pani rozumie? Zemszczę się na Pani za gadulstwo, za „przyzwoitość", za oszczędność i za muzykę, och za muzykę! Pozdrawiam Panią. Oddany Jej

Józef Smutek
słuchacz filozofji.

A CO GOSPODYNI OTRZYMAŁA?

Wielce szanowna i czcigodna Pani!

Donoszę Jej, że wszystko w mieszkaniu jest w absolutnym porządku, o ile może w nim być, gdy niema gospodarnej ręki kobiecej. Służąca, która przychodzi sprzątać, jest straszną niezdarą i zmuszony byłem zapłacić jej za miesiąc i oddalić. Niech sobie Pani wyobrazi! Podczas mojej nieobecności zepsuła zlew, odkręciła kran — i woda lała się w mieszkaniu na podłogę, przez szparę w drzwiach na schody — przez całe osiem godzin! Naturalnie podłoga, dywaniki, niektóre sprzęty, doznały z tego powodu pewnych szkód. Żarówka w kuchni pękła. Sąsiadka z pierwszego piętra obmawia Panią przed sąsiadką z trzeciego piętra. A dozorca prosił o przesłanie Pani ukłonów. Pani, której nie znam, a która mieszka vis o vis nas, wróciła świeżo ze wsi i podobno wróciła wraz z pchłami. Był tu jakiś starszy pan, który podobno Panią zna oddawna i pytał o Panią. Powiedziałem mu, gdzie Pani przebywa, a on ucieszył się ogromnie i powiedział, że napewno tam pojedzie, ale chyba nie zaraz, bo ma jakieś ważne sprawy. Bardzo miły człowiek, tylko nie pamiętam, jak się nazywa. No, zasyłam Pani serdeczne pozdrowienia



i życzę, aby Jej pobyt na wsi był przyjemny — mamy tu strasznie brzydką pogodę: deszcze tylko i deszcze, czasem nawet wprost zimno, choć to pełnia lata. A u Pani? Podobno cudnie? Ciepło i pogodnie. Och! Zazdroszczę Pani!

Uniżony sługa

Józef Smutek, słuchacz filozofji.

IV. JAKI LIST NAPISAŁA PANNA LILI DO NARZECZONEGO, ZRYWAJĄC Z NIM...

Tak, Ludwiczku. Jesteś niebylejakim gałganem, skoro zabrakło Ci odwagi osobiście zerwać ze mną. Przypuszczałam zawsze, że znajdziesz w sobie dość męstwa, aby napisać, czy powiedzieć prawdę, ale Ty wykręcasz się. Wiem dobrze. To stare pudło ma pieniądze, a Ty zawsze dużo mówiłeś o ideałach, więc... No, tak. Wiedziałam to już dawno. Myślałeś, że Ci tak absolutnie wierzę, iż nie potrzebujesz nawet być ostrożnym? Wylazło szydło z worka. Zwracam Ci Twoje „słowo" i życzę dużo szczęścia w pożyciu z tym połciem słoniny. A co jest warta Twoja tak zwana miłość do mnie, lepiej nie mówić. Dziękuję Bogu, że mnie ustrzegł jednak od takiego kabotyna.

Lili.

A JAKI LIST OTRZYMAŁ LUDWICZEK.

Ludwiczku mój!

Otrzymałam Twój list i odpisuję natychmiast.



Tak, masz rację — nie jesteśmy dla siebie stworzeni. Poco wiązać się, kiedy już niema tego, co było. Ale przecie kochałeś mnie? Prawda? Och, żegnaj! Nigdy nie zapomni Ciebie

Twoja Lili.

P. S. Bądź tak dobry i odeślij mi rękawiczki, lusterko i kredkę do ust, jakie zostawiłam, gdy byłam ostatni raz u Ciebie.

*

Biedni są ci zakochani! Przepełnieni uczuciem miłości, spalani na popiół żarem i „czarem", są tacy bezbronni nawet wobec własnego szczęścia! Może nawet nie umieją wyznać miłości ukochanej osobie? Może, kochając skrycie, męczą się i cierpią katusze? Czyż damy im zginąć? O, nie! Są tacy szlachetni, co o nich też pomyśleli. Najszlachetniejszym ze szlachetnych jest pan F. Fiałek z Chełmna, który własnym drukiem i nakładem wydał różową broszurę nieznanego dobroczyńcy kochanków płci obojga pod zachęcającym tytułem: „*Sekretarz miłosny, czyli podręcznik dla zakochanych*"*), zawierający „liczne wzory listów miłosnych, powinszowania dla osób ukochanych" i t. d. i t. d. Cena tylko 20 groszy. Cześć wielkiemu filantropo-



wi, a Ty, Czytelniku, kiedy kochasz, zwróć się do tego „sekretarza" i posłuchaj, jak masz się oświadczyć i jak miłość wylać na papier. Ja Ci pomogę; oto z kilku listów wybrałem najmocniejsze zdania i zwroty, a Ty, o wybranko czytelnika „sekretarza", znajdziesz zaraz na list Twego kawalera odpowiedź pod następnym numerem:

1. Czytelniku, uwaga! Oświadczasz się!

Miłoszewo, 4 grudnia 1915.

Moja najdroższa Zosiu!

O czem Cię moje postępowanie, mój każdy rzut oka już może zapewniły, czego Ci usta moje nie odważyły się wyznać, to ośmielam się teraz, z bijącem sercem, powierzyć temu pismu. Niepodobną jest rzeczą, abym się dłużej natarczywości serca mego mógł oprzeć, zwyciężony mocą uczucia, chcę się teraz dowiedzieć, czyli jedyna nadzieja mego szczęścia jest tylko marzeniem! Odważam się więc wyznać Ci to, co mi serce moje w piersiach do prędszego bicia pobudza; to moje życzenie odnosi się do posiadania Twej godnej osoby, ku której w mem sercu obudziła się tęsknota już od pierwszej chwili naszego wzajemnego zetknięcia się. To jest, że kocham Cię, kocham nie do wypowiedzenia. Natenczas oddaj mi w imię Boże Swą rękę i bądź przekonaną, że dołożę wszelkich starań, abym Ci w mym domu zgotował dolę przyjemną. Z utęsknieniem będę wyglądał odpowiedzi na mój list, a tymczasem kończę, pełen nadziei w dobry skutek mej prośby.

Z wysokim szacunkiem

Tomasz Zuch.

2. A teraz, czytelniku, kropnijmy list do ojca Twej magnifiki:

Wielce Szanowny Panie!

Niedawno miałem zaszczyt poznania Pańskiej córki R. Słyszałem też wiele dobrego i pochwał o niej, przeto odważam się Szan. Pana zapytać, czy mógłbym się o jej rękę starać? Mój interes i urządzenie domowe, to wszystko, co posiadam. Jeśli sobie Pan na zięcia życzy nieposzlakowanego człowieka, który ponad wszystko ceni pracę i ciche, zgodne pożycie domowe, to bez przesady mogę śmiało stanąć obok każdego, ktoby tylko się o Pańską córkę starać zechciał. Bądź więc Pan tak dobry rozważyć sprawę moją z Pańską miłą córką Klarą i Jej Szanowną Matką, i ucieszyć mnie wkrótce życzliwą odpowiedzią. Z największem upragnieniem wyczekuję jej i pozostaję z prawdziwem poważaniem

powolny

Stanisław Szydłowski.

3. A teraz słuchaj, „powolny" czytelniku, co Ci odpisuje panna:

Chełmno, 4 sierpnia 1914.

Łaskawy Panie!

Serce me wylałam przed matką i treść Pańskiego listu jej opowiedziałam. Ona w tej sprawie pomówi z ojcem. Napisz Pan jutro też do niego; od jego decyzji będzie moja odpowiedź zależała.

Z szacunkiem

Wanda A.

4. Cóż za prostota! Ale ojciec już otrzymał list i odpisuje:

Kochany Panie Zaworski!

Otrzymałem wczoraj szanowne Pańskie pismo i dziękuję Panu za zaufanie, jakie przez nie okazałeś mnie i mojej córce. Nie potrzebuję Szanownemu Panu mówić, że na widok dorastającej córki nieraz też w myśli życzyłem sobie dobrego zięcia, zięcia, któryby wprost na szacunek zasługiwał. Mu-



siałbym atoli jeszcze omówić z Panem tę i ową poboczną okoliczność i dlatego proszę Pana odwiedzić nas w tym celu dzisiaj popołudniu. Spodziewam się, że Pan spędzisz u nas ten czas przyjemnie, jeżeli rzeczywiście kochasz naszą Klarę. Chętnie się na życzenie Pańskie zgadzam w przekonaniu, że w Panu, tak jak w mej kochanej Anieli, będę miał w starości pociechę. Obyście oboje byli zawsze jaknajszczęśliwsi, tego wam życzy szczery przyjaciel i ojciec

Bogdan M.

Chłop z kościami ten ojciec, prawda? Ale to zasługa „Sekretarza". Zwróć się do niego, zakochany czytelniku. Możesz tam dowiedzieć się, jak się masz oświadczyć wdowie, jak masz prosić przyjaciela o wywiadywanie się o przymiotach panny, a kiedy już zostałeś szczęśliwym narzeczonym, to nie zapomnij, wysyłając bogdance prezent imieninowy — tak napisać:

„Załączonym podarkiem pragnę Ci sprawić w imieniny choć małą radość. Gdybym jednak się omylił w wyborze i nie trafił w Twój gust, proszę przebacz mi to, a bacząc przynajmniej na dobre moje chęci, racz przyjąć dar mile i wspomnij, jak bardzo Cię kocha

Twój wierny Władysław".

A potem, czytelniku, przeczytaj „Sekretarza„ od deski do deski i jeżeli nie padniesz trupem ze śmiechu — żyć będziesz długo i doczekasz się prawnucząt.

*) „Sekretarz" istnieje rzeczywiście, czy jest jeszcze do nabycia — nie wiemy. Teksty, które podajemy, są najzupełnie autentyczne.

MAURYCY DEKOBRA.

Amerykańskie Amazonki

FILANTROP W SPÓDNICY.

Copyright by Agence Litteraire Internationale, Paris.

Nosi tam nazwę *Social worker*. Trudni się zawodowo filantropją, podobnie jak inne niewiasty poświęcają się bieliźniarstwu, pisaniu na maszynie lub kokieterji.

Rodzaj ten, rzadko jeszcze spotykany w Europie, nagminnie rozpowszechnił się w Stanach Zjednoczonych. I ktokolwiek, badając Amerykę, o niejby nie wspomniał, winien jest takiego samego grzechu, co przyrodnik, gdy zapomni o istnieniu kangura w Australji lub szarańczy w Algierze.

Liczy sobie w większości wypadków od czterdziestu do sześćdziesięciu siedmiu lat. Może być zamężną, wdową, lub starą panną. Jeżeli ma męża, to widocznie takiego, co przekłada walkę o posiadanie dolara lub męzkie zebrania *(stag parties*— wieczór rogacz) nad cichą, radością przy ognisku domowem. Stara panna, poświęcająca się pracy społecznej, należy zazwyczaj do rozczarowanych, co pociechę znajdują w wylaniu na całą ludzkość nadmiaru uczuć wezbranego serca.

Bo wszystkie są wykolejone... Pragnęły romantyzmu. Pragnęły znaleźć ujście dla szlachetnych porywów osamotnionych swych dusz. Don Juan nie nadszedł, by je zadowolić. Romeo nie przystawiał do ich okien drabiny. Przeciwnie nawet, gdyż mężczyźni, z którymi się połączyły, nie nasycili ich głodu romantyczności w miłem sam na sam. Dlaczegoż tak? Bo brak im czasu, i poczytywaliby sobie każdą minutę, spędzoną z kobietą, za straconą, nie pomnąc o tem, że z tą kobietą właśnie łączą ich dozgonne więzy.

I wówczas, podobnie do niemowlęcia, co w braku piersi karmicielki, ssie z uporem własny palec, rzucają się opuszczone kobiety w odmęt pracy społecznej. Zostają zaposane do kilku klubów jednocześnie. Uczęszczają z chwalebną cierpliwością na najbardziej zabójcze zebrania, co przychodzi im bez wszelkiego trudu, albowiem wybór mają olbrzymi. Bo każda niewiasta, co pragnie poświęcić się w Ameryce sprawom, które bynajmniej nie mogą je interesować, może z łatwością zastosować swój czas do ścisłego programu codziennego żeńskich zebrań, wszelkie autoramentu.

Któregoś dnia zajrzałem w pewnej gazecie z Filadelfji do działu, poświęconego sprawom społecznym. Przeraziłem się na widok trzech bitych kolumn, obejmujących awiza o porządku zebrań w poszczególnych miastach. I niejedno stowarzyszenie może się pochwalić, iż ofiarowuje swoim adherentom najróżnorodniejsze sposoby „czynienia dobrego".

I oto tego właśnie dnia *Woman's Triangle Club* obchodził 13-tą rocznicę; *New Century Club* urządził turniej bridżowy, *Stowarzyszenie synów i córek pątników* zwołało swych członków na 11-tą rano; *„W. C. T. H."* zwołało posiedzenie dyskusyjne na temat o prohibicji; *„Amerykańskie T-wo dla popierania urody"* (!), *„Kobiece Stowarzyszenie Abstynencji"*, *„Klub Kanadyjczek"*, *„Stowarzyszenie miłośniczek muz"* i z pół tuzina innych klubów—odbywało zwykłe posiedzenia.

Pewnego dnia w muzeum Rodin'a, które zostało ufundowane dla m. Filadelfji przez niejaką Mrs. Mastbaum, spotkałem jedną ze znajomych pań — działaczek społecznych. Czterdzieści pięć lat; siwe włosy krótko strzyżone i nie ondulowane; kostjum sportowy; pantofle bez obcasów. Natknąłem się na nią w chwili, gdy stojąc przed pięknym „Pocałunkiem" Rodina spoglądała na zegarek.

— Czy się pani spieszy?

— Tak jest. O czwartej muszę być na zebraniu *Liberty Club'u*, a później w *Speech Reading Club'ie* muszę posłuchać odczytu o twórczości Velaquez'a.

— Jak widzę, panie nigdy nie bywacie u siebie?

— A poco?...

— Przypuszczałem jednak, że nie może być *home'u* bez kobiety...

Społecznica roześmiała się...

— Powraca pan do ideologji naszych babek z przed 1860 roku! Dziś wszystko inaczej, drogi panie! *Frigidaire* i maszyna do zmywania górują tam, gdzie dawniej za nowość uważano dagetotyp i krynolinę.

— No, dobrze, ale przecież w godzinach lunchu lub obiadu...

— Lunchu w domu nie jadam, a mąż pracuje cały dzień i nie powraca również do domu. Nie mogę przecież siedzieć przy stole sam na sam z kotletem, selerami na *roquełorze* i filiżanką kawy białej.

— Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, że my, „zacofani" europejczycy, nie możemy się nadziwić, iż na 150 klijentów w restauracji — jest 140 pań? Nic podobnego nie widziałem we Francji, podczas gdy tu jest to powszechnie przyjęte...

— Bardzo proste! Bo wy wszyscy w Europie, a zwłaszcza Francuzi, nie interesujecie się pracą społeczną.

— Ale zato niewiasty nasze poświęcają swój czas ognisku domowemu i budowaniu szczęścia swych małżonków i dzieci.

— To bardzo chwalebne! Nie mniej jednak uważam, że to niebezpieczne. Zwłaszcza w stosunku do mężów. Kobiety w Europie psują swoich mężów. Rozpieszczają ich, podczas gdy powinno być odwrotnie...

— Dlaczegoż więc, miłe panie, nie okazujecie wdzięczności waszym mężom, za to, że o was dbają?

— Nigdy nie należy tego okazywać. A tymczasem musimy przecież myśleć o tem, jak spędzić nasze wolne chwile. Potrzebę poświęcenia się, którą wszystkie przeważnie odczuwamy, możemy zużytkować w jednem z licznych, na mniej lub więcej filantropijne poczynania stowarzyszeń. Daje to nam przynajmniej możność łudzenia się, że przyczyniamy się do ogólnego dobra...

— Nie śmiem żartować na ten temat, gdyż istotnie przypuszczam, że niejedna z kobiet amerykańskich poniosła zasługi dla społeczeństwa...

— Nie inaczej. Wiem, że możecie nam zarzucać, iż niejednokrotnie wtrącamy się do rzeczy, które do nas nie należą. Że dużo hypokryzji ukrywa się pod płaszczykiem t. zw. społecznych poczynań. Cóż robić? Nigdy jednak nie zdołacie wstrzymać naturalnej, wobec demokratyzmu naszego ustroju, skłonności do poczynań zbiorowych.

— Czyż tak, łaskawa pani? A mojem zdaniem uprawiacie w Stanach to samo, co przy *tir au pigeon:* czyhacie na biednego ptaka, kiedy podejmuje się do wzlotu i strzelacie „na pewniaka". Gołębiem w danym wypadku jest indywidualizm. I cała różnica polega na tem, że my, na starym kontynencie, hołdujemy zasadom indywidualizmu, a wy, w wolnej Ameryce, radzi jesteście dusić tę swobodę w zarodku...

— Śmiać mi się chce z pańskich poglądów — przerwała mi w tem miejscu. — Bo mojem zdaniem tylko dwóch ludzi na świecie mogło praktycznie stosować indywidualizm — że tak powiem, integralny — dwóch ludzi jedynie: Adam i Robinson Kruzoe!



„Social worker" w wielkim świecie.



ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA.

1	2			3	4
5		■	■	6	
7		8	9		
	■	10			
11			■	12	
13			14	■	
15	■			16	■
17					18
19					

ZNACZENIE SŁÓW.

Wyrazy pionowe:

1. Polityk niemiecki.
2. Przysłówek.
3. Imię męskie.
4. Prawdziwie czuły.
8. Polityk francuski.
9. Zaimek wskazujący (wspak).
14. Zeszycia (wspak).
16. Miejsce zarośnięte w pustyni (2 przy. l. mn.)
18. Końcówka czasown. w trybie bezokol. (wspak).

Wyrazy poziome:

1. Polityk amerykański.
5. Określenie miejsca (wspak).
6. Częste połączenie 2 liter w polskim język.
7. Przyszykowane.
10. Pozdrawia przybywającego (wspak).
11. Rzeką w Europie (wspak).
12. Oznaczenie nieznanej osoby inicjałami.
13. Uzdrowiska.
15. Zaimek w l. mn. (wspak).
17. Inaczej, krajać.
19. Drzewo owocowe.

Za rozwiązanie trafne niniejszej krzyżówki, nadesłane w terminie 10-dniowym, przeznaczamy do rozlosowania 5 nagród w postaci książek beletrystycznych.

ROZSTRZYGNIĘCIE „KONKURSU ROZWIĄZAŃ".

W dn. 17 kwietnia o godz. 6-ej popoł. w lokalu redakcji „7 dni" odbyło się w obecności członków redakcji losowanie nagród w konkursie rozwiązań „7 dni".

Nagrody zostały ustalone jak następuje:
I nagroda: aparat fotograficzny;
II nagroda: radjoaparat detektorowy;
III nagroda: flakon 1-litrowy Narcise-bleu;
IV nagroda: loża do Morskiego Oka;
V nagroda: 5 książek beletrystycznych.

Dodatkowe nagrody oraz nazwiska rozwiązujących zostaną podane w N-rze następnym.

W losowaniu nagrody przypadły następującym osobom:

Marjan Braun, Środa, ul. Wielka św. Ducha 5.
Irena Salmowa, Łódź, ul. Radwańska 36.
Witold Religioni, Warszawa-Praga, ul. Białostocka 23 m. 4.
Zofja Reklewska, Warszawa, ul. Foksal 17.
Stanisław Filipowski, płk. inż., Warszawa, Natolińska 7 m. 8.

Wśród książek



Eustachy Czekalski, znany literat.

Eustachy Czekalski — Szeroki Dunaj —Powieść — Warszawa, 1930 — Nakładem księgarni F. Hoesicka. — Str. 240.

Nowa powieść E. Czekalskiego przenosi nas w czasy niby to niebardzo jeszcze dawne, jakże jednak najzupełniej od naszych odmienne! To samo dziś mamy Stare Miasto, ten sam Szeroki Dunaj i Krzywe Koło, ten sam może ruch na uliczkach i te same jeszcze typy — ale w psychice ludności i w jej zbiorowem życiu jaskrawe zaszły przemiany. Czy na lepsze? Niestety, należy wątpić.

Spokojna, choć sentymentem wspomnień przesycona opowieść Czekalskiego daje dość szeroki obraz staromiejskich sfer rzemieślniczych, z przed lat mniejwięcej czterdziestu, — i bez patosu, ale ze szczerą pogodą i prostotą opowiada o tem pokoleniu, które było proste i twarde, lecz zacne i uczciwe. Polskę kochało głęboko i dla tej Polski niejedno złożyło ofiarę.

Wiele ciekawych obrazków, wiele bardzo ciekawych wspomnień. Niektóre szczerze wzruszają. Całość, szczęśliwie pomyślana, a z zamiłowaniem opracowana, znajdzie niewątpliwie spore zastępy czytelników, którzy mają już dość wszelakich sensacyj i „niesamowitych" dreszczów, i z przyjemnością czytać będą te karty pełne życia, swobody i humoru, który jest zdrowy i który nie nudzi.

Rozmach techniki — tężyzna i piękno ludzi

Trzydzieści lat nowego stulecia jakżeż do gruntu zmieniło ludzi i charakter ziemi. Jak dziś widzę poważnych radców, pełnych autorytetu, wyhodowanego na okocimie i opasłe matrony, wzdrygające się na myśl podniesienia sukienki przy wsiadaniu do tramwaju. Tak jest, w tamtem stuleciu wagony posiadały za wysokie stopnie, a auta były za ciasne — świat pełen wstrętnego swądu z kominów kolejowych i fabryk. Wskutek denerwującego dzwonienia tramwaju pewien literat lwowski odebrał sobie życie, a szanująca się dama nie używała telefonu, zaplutego przez żydów.

Wielka wojna przenicowała ludzi. Malkontenci zostali politykami, a szalone głowy, nieszanujące autorytetu pasibrzuchów, zaczęły w czyn wprowadzać karkołomne marzenia.

Rockefeller w pamiętnikach swoich wspomina, że łapówkami otwierał sobie drogę tam, gdzie ustawy zabraniały postępu. Ile odwiecznych praw trzeba było przełamać, ile paragrafów zmienić lub pominąć, by postawić drapacze chmur. Są jednak paragrafy, ustanowione przez przyrodę, i biada śmiałkowi, który śmie je obejść lub o nich zapomnieć. Ludzie przekopali kanał Sueski i Panamski — stawiają zapory wodne wpoprzek rzek i tworzą sztuczne jeziora, wypompowują z Nemo wodę, by odszukać parę historycznych zabytków, wybierają na biegunach miejsce do lądowania, gdyż tamtędy prowadzi najbliższa droga do Ameryki, budują pływające wyspy-lotniska, których przyroda zapomniała dla naszej wygody stworzyć. Podziwiać należy nietylko śmiałość takich poczynań, lecz i pełną świadomość, że czasami wysiłki te idą na marne, pochłaniając setki ofiar. Tamy wodne, zakładane dla stworzenia potężnych zapasów wody i sztucznego ciśnienia, w razie trzęsienia ziemi rozsypują się, jak zabawki dziecięce z piasku, niszcząc niżej położone osady.

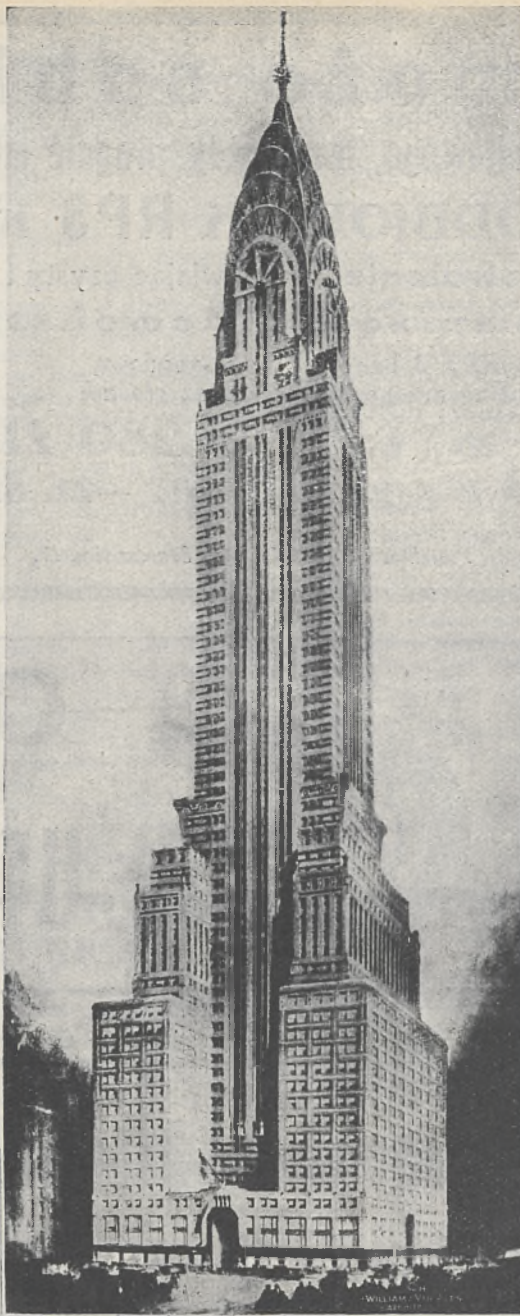
Projekty, które zakrawają na utopję — urzeczywistnione bajki, najczęściej i najpewniej zbliżają nas do celu. Wystarczy przypomnieć sobie pierwszy zdolny do lotu samolot, Bleriot XI, cały z płótna i drzewa — pajęczynka, której życie powierzał szaleniec, przelatujący kanał La Manche, a dzisiejszy yacht latający Do x, budzący swym zewnętrznym wyglądem pewność absolutną. Zawiodą silniki — siądzie w locie ślizgowym na wodę i z mniejszą szybkością popłynie po wodzie.

Statek latający DoX przewyższa swemi wymiarami okręty „transoceaniczne" zeszłego stulecia. Dwanaście silników, o łącznej mocy 6500 koni, szybkość w powietrzu 200 klm. na godzinę, ładunku może unieść 40.000 kilogramów, pasażerów pomieścić 120 z wygodami, a do 200 na przestrzeni, nie wymagającej wygodnego noclegu. Zapasy paliwa: dwa wagony benzyny i 3000 klg. oleju, cały yacht-płatowiec z ładunkiem waży 52 tonny, tyle, co normalny ciężarowy parowóz, i to lata w powietrzu!

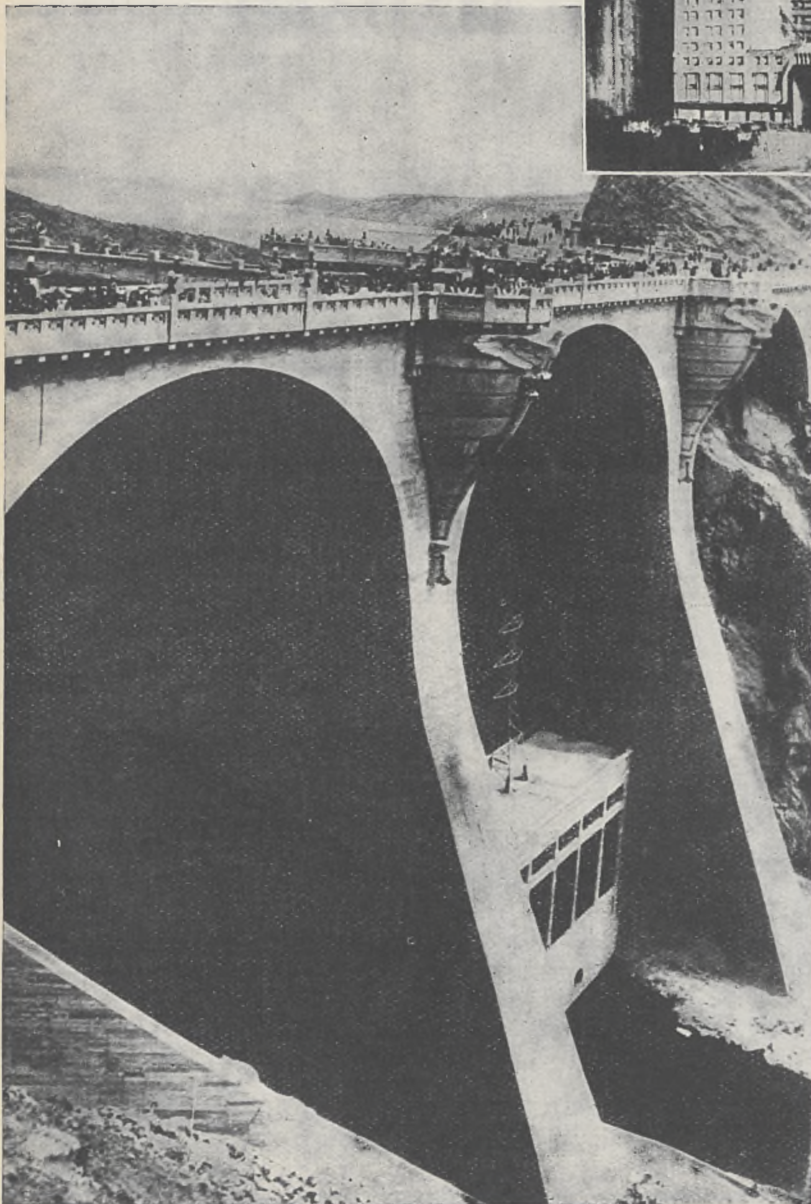
Latające taksówki stały się już nie tylko rzeczywistością amerykańską, lecz i niemiecką. Pewien przemysłowiec warszawski opowiadał mi, jak dzięki wyścigowemu samochodowi zdołał na czas przybyć do Bielska z Warszawy i zakończyć ważną tranzakcję, która dała mu większe zyski, niż warte dziesięć takich samochodów. Nie trzeba być fantastą, by zrozumieć, jaką wygodą może być przelot w ważnej sprawie między Łodzią a Warszawą, o każdej porze dnia i nocy, bez krępowania się rozkładem jazdy pociągów czy regularnej komunikacji lotniczej.

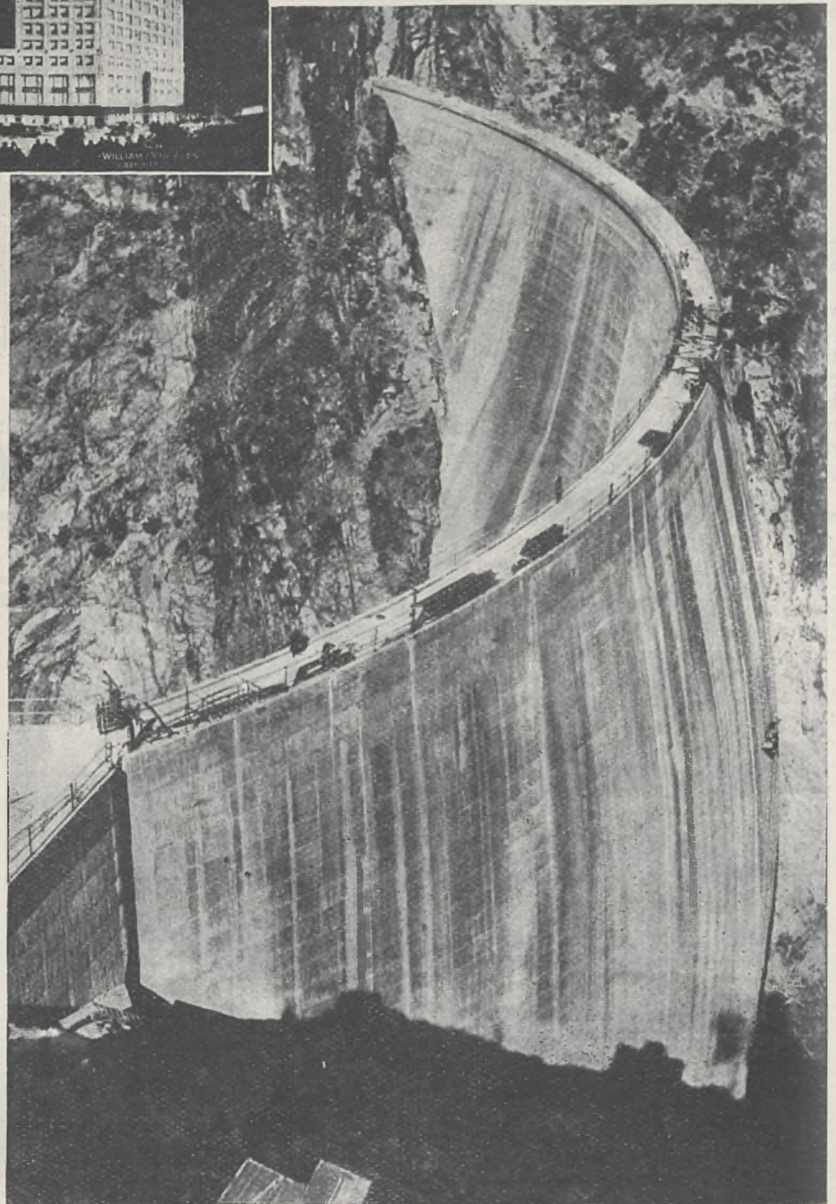
Taka organizacja cywilnego lotnictwa nieregularnego wymaga specjalnej obsługi i lotnisk odpowiednio urządzonych, możliwie w centrum miasta, by ułatwić komunikację businesmanom. I znowu wyłania się fantastyczny projekt, spędzający sen z powiek czycigodnym ojcom miast. Aerodrom — hotel i warsztaty, biura telegraficzne, poczta, dach do lądowania w jednym bloku i to w dodatku obrotowym, by zawsze zająć pozycję, zależnie od wiatru, dogodną do lądowania.

E. P.



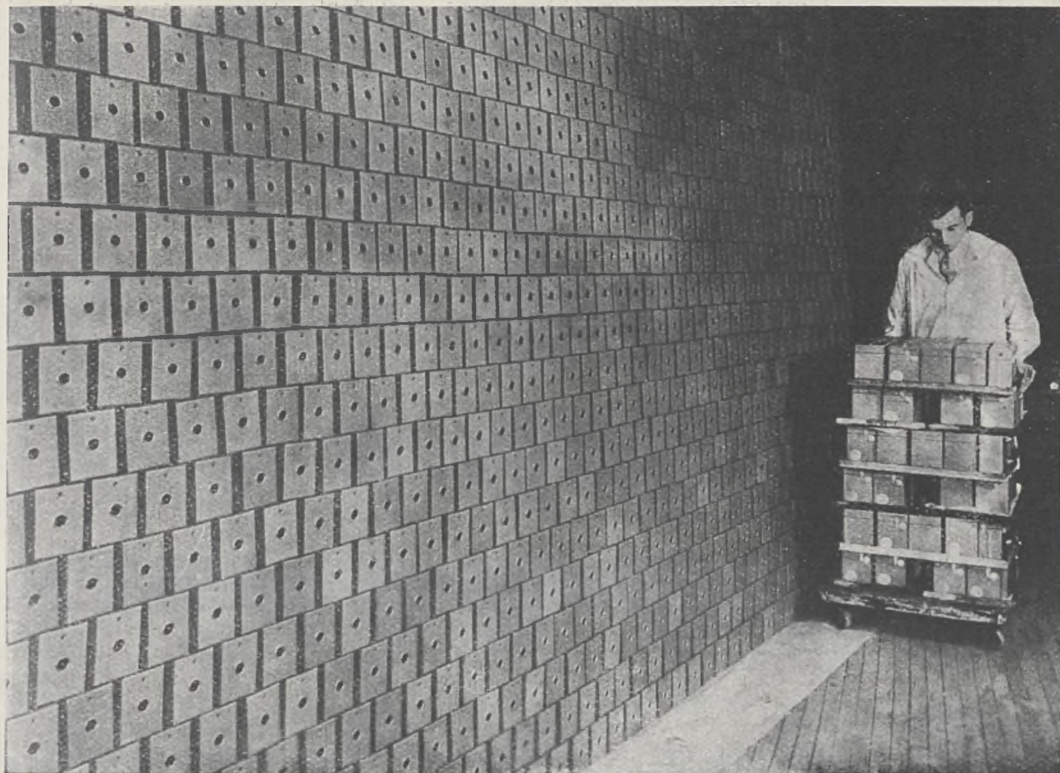
Ile paragrafów trzeba przełamać, by postawić taki drapacz chmur. Walter Chrysler buduje kosztem 100 mil. zł. p. 68 piętrowy gmach.





Stumetrowej wysokości tama wodna dla nowych zakładów elektrycznych w okolicy San Francisko.

TO TAMTO I OWO



Z okazji swego jubileuszu firma Eastman Kodak ofiarowała 50.000 aparatów fotograficznych dziatwie.

NAJDZIWNIEJSZA POWIEŚĆ NA ŚWIECIE — „JESTEM GŁODNY..."

Oddawna już świat literacki nie przeżywał takiej sensacji: młody autor napisał powieść, *podarował* ją jednemu ze znanych pisarzy niemieckich i — znikł. Nie wie zapewne, że powieść jego ukazała się już w wydaniu książkowem, nie obchodzi go sława, która spadła na niego formalnie w ciągu jednej nocy, nie daje znaku życia nawet owemu pisarzowi, któremu powieść swoją podarował. Podobno jest pod przybranem nazwiskiem aktorem filmowym w Hollywood.

A tymczasem legenda otoczyła już postać tego dziwaka, którego nazwisko brzmi (prawdopodobnie) *Georg Fink.* Pod tem nazwiskiem przedstawił się owemu pisarzowi — Kurtowi Münzerowi — kiedy zjawił się u niego przed dwoma laty i zwierzył się, że zamierza napisać powieść — opowiedzieć dzieje swego dzieciństwa. Po tym dniu nikt nie widział Finka. W sześć miesięcy później otrzymał Münzer pocztą nieczytelny manuskrypt i list, w którym autor donosił mu, że emigruje do Ameryki i daruje mu swoją powieść. Niech z nią robi, co mu się podoba. Prosił tylko, aby na wypadek wydania jej drukiem ukazała się nie pod jego nazwiskiem, lecz jako dzieło samego Münzera.

Trzydziestu wydawców odrzuciło manuskrypt, wzruszając ramionami. Trzydziesty pierwszy osiągnął z nim sukces, jakiego nie notowano w Niemczech od czasów Remarque'a.

Ten niespodziany sukces, ten nagły entuzjazm publiczności, ta tajemniczość, otaczająca osobę autora — spowodowały zapewne, że od pierwszej chwili porównywano dzieło Finka z „Na zachodzie bez zmian". A przecież porównanie to ma i głębsze uzasadnienie. Mimo zupełnego braku podobieństwa zewnętrznego mają te książki jedną cechę wspólną: obie są nie „powieściami", nie „utworami literackiemi", ale głęboko przemyślanemi i odczutemi pamiętnikami, wiernemi obrazami rzeczywistej grozy życia. I tu i tam autor skromnie staje na uboczu gwarliwego rynku zawodowej literatury. Ale i tu i tam, bez zamiaru artystycznego, *zdradza się* ze swoim wielkim talentem pisarskim — może jeszcze nieświadomym.

Jednakże — jeśli idzie o porównania — to powinnyby one w tym wypadku iść raczej w innych kierunkach — do Hamsuna — do Dostojewskiego.

Książka Finka jest wstrząsająca. To nadużywane słowo jest tu jedynem właściwem. Nie jest to dzieło literatury proletarjackiej. Nie słyszy się w niem o uświadomionym klasowo proletarjacie, ani o jakiejkolwiek innej społeczności upośledzonych czy walczących. Nędza nie krzyczy tu, nie oskarża — co najwyżej szepce ustami czteroletniego chłopca: jestem głodny... I dlatego może przemawia tak głośno i silnie. Środowisko, które opisuje Fink ze swoich przeżyć, stoi poza obrębem wszelkiego porządku społecznego. Książka ta nie zamierza opisywać życia ubogich, ani ich twardego losu, nie jest oskarżeniem ani wyzwaniem, nie jest nawet skargą — to księga miłości ubogiego dla ubogich. I w tem tkwi cała tajemnica niebywałego powodzenia Finka: że w takiej nędzy — tej nędzy, która staje się dla nędzarza już nie jarzmem, ale żywiołem powszednim — potrafi się zdobyć na miłość.

A wojna? Jest tu i wojna, ale jakże inna! Widziana niejako od dołu, oczyma nędzarza, którego wzbogaca, gdyż zrównywa go z bogaczem, kupującym od niego kartki chlebowe. Wojna — która oznacza tylko: sacharynę, margarynę, chleb kartkowy. Śmierć? Nie jest straszna: śmierć ojca oznacza rentę inwalidzką. Tej strony wojny nie opisał jeszcze nikt w „literaturze wojennej" ostatnich lat. To też dobrze jest, że książka ta dotarła już do serc tysięcy czytelników i zuchwale toruje sobie drogę do dalszych tysięcy. Podarunek Finka dla nieznajomego pisarza niemieckiego staje się darem ubogiego dla ludzkości. Darem bezcennym.

(B. M.)





Z. DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

U.

ULICA.

Bohaterka filmowa, jeżeli wychodzi na ulicę, doznaje natychmiast szeregu oszałamiających przygód.

W życiu można stać przed najpiękniejszą nawet wystawą sklepową przez długie godziny i absolutnie nic z tego nie wyniknie. W kinie zaś bohaterka stoi może ćwierć sekundy, a natychmiast pojawia się na ulicy wytworny pan, wysiada z własnego auta i niepostrzeżenie staje za bohaterką. Potem mówi:

— Pani ma tak piękną szyjkę. Czy pozwoli pani abym jej w dowód szacunku ofiarował te perły...

I nie czekając na odpowiedź wpada do sklepu i kupuje za niesłychaną sumę piękne perły i zawiesza je na szyi bohaterki. Dzięki temu naszyjnikowi zresztą bohaterka ratuje później swego narzeczonego, ocaia całą rodzinę i wychodzi świetnie za mąż. A wszystko dlatego, że wyszła na pierwszą lepszą ulicę w odpowiednim czasie.

Jeżeli jednak bohaterka nie otrzymała naszyjnika pereł, to bez wątpienia ujrzała wlepione w siebie palące spojrzenie obcego mężczyzny, który nie odstępuje jej ani na krok przez całą długość ulicy. Okazuje się zresztą, że jest to nieprawy ojciec dziewczęcia, który od lat przechadza się po tej ulicy, nie tracąc nadziei, że pozna swą córkę we właściwym czasie.

Ulicy służy jako miejsce do odnajdywania zagubionych dzieci, jako miejsce spotkania niewiernej żony, jako najodpowiedniejsze locum do popełniania samobójstw.



Fot. Paramount. Fox.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawiciel stwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakl. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.